



WTAJEMNICZENIE

Tomasz Węcki

Tomasz Węcki

Wtajemniczenie

© Tomasz Węcki, 2016

© Maciej Piątek, ilustracje, 2016

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

A

Kokon pękł i wylał na świat potok duchów rozpacz: gryźców, żerców, gałganów i dusicieli.

Myślałem, że tałatajstwo rozlezie się po okolicy, łapać ludzi przed Galerią Dominikańską lub na pobliskim węźle komunikacyjnym. Właśnie po to roją się w ruchliwych miejscach. Ale nie. Młode zwęszyły łatwiejszą zdobycz i całym stadem ruszyły przez Park Słowackiego w kierunku Odry.

Obserwowałem te narodziny od kilku dni, od kiedy na niebie pojawił się czarny bąbel, jak burzowa chmura. Wiatr niósł go przez Wrocław, ponad blokami i mostami. Z każdą godziną coraz więcej łap próbowało przebić membranę kokonu. Coraz wyraźniej słyhać było sfrustrowany trzepot skrzydeł. Aż wreszcie robactwo zrobiło się na tyle ciężkie, na tyle konkretne w formie, że osiadło na dachu Galerii. W miejscu natarczywym, kanciastym, tłoczonym. Idealnym na łowy dla istot żywiących się tłumionymi lękami i cichą desperacją.

To nie był pierwszy raz. Podobne pakunki nadlatują nad miasto bez ustanku. Zawsze lądują tam, gdzie duchy mają najlepszy żer. Nie zawsze są groźne, ale jeśli są — nikt ich nie powstrzyma.

Gdybym mógł kogoś ostrzec: policję przed nadchodzącą falą samobójstw; lekarzy — przed epidemią depresji. Gdybym tylko miał władzę, żeby na kilka dni zamknąć dla ruchu centrum miasta... Nikt mi jednak nie uwierzy. Sam bym sobie nie uwierzył. Jedynym dowodem, jakim dysponuję, jest świadectwo zmysłów. Tyle wystarczy najwyżej na skierowanie do psychiatryka. Bo oprócz mnie nikt tych stworów nie zobaczy. Nikt z żyjących.

Zrobiłem więc najlepszą rzecz, jaką mogłem — zasłoniłem się ochronnymi znakami przed ogonami gryźców i toksyczną aurą dusicieli. Chmara potworów przeleciała mi nad głową, smrodząc w podnieceniu.

Łuski, pajęczce odnóża, skrzydła much i nietoperzy — jak rekwizyty z horroru klasy C. Młode zawsze wyglądają na zlepione z niedopasowanych fragmentów. Dopiero z czasem nabierają kształtu. Znajdują swoje nisze, pożywiają się na ludzkich duszach. I powoli zostają tym, co jedzą. Jeśli to radość, nie da się na nie spojrzeć bez uśmiechu. Jeśli smutek, ich widok wyciska łzy.

Horda znad Galerii należała do tych stworów, które najchętniej żerują na strachu, żalu, smutku i nienawiści. Z czasem nauczyłyby się wzbudzać takie właśnie emocje. Pojęłyby, jak więzić ludzi w mrocznych zakamarkach umysłu. W tak dużym miocie z pewnością znalazłaby się też jedna bestia, której pisane przerosnąć rówieśników. Gdyby przetrwała wystarczająco długo, zrozumiałaby, jak działa ludzki świat i jak nim manipulować. Już nie patrzyłaby na nas niczym wilk na owce — lecz jak pasterz na swoje stado.

Spakowałem laptop, wrzuciłem papiery do torby i ruszyłem za nimi. Ten

nagły pęd nad rzekę nie mógł być przypadkiem. Nie ma przypadków w krainie duchów.

Chmara parła przez park, gubiąc po drodze pojedynczych maruderów. Ci lądowali przy nieświadomych niczego ludziach i strzelali jadem. Zwykle nie działało, bo młode były zbyt podniecone, by roztropnie wybierać ofiary. Nikt ich jednak nie przepędzał — w końcu też nikt poza mną ich nie widział. Mogły próbować dalej, do skutku.

Tak jak z tym mężczyzną, którego minąłem. Pokryty czarną łuską gryziec usiadł mu na ramionach, wbił pazury w barki, owinął kolczasty ogon wokół szyi i ukąsił — w ucho. Nic się nie stało. Mężczyzna nawet zaśmiał się do własnych myśli. Ugryzienie w kark, dalej nic. Wreszcie zęby wylądowały na krtani. Wrażliwe miejsce, czuły punkt, bo uśmiech zniknął, a ponure wspomnienie wykrzywiło twarz w podłym grymasie. Gryziec zapiszczał z zadowolenia. Zaczął lizać człowieka po szyi, spijając życiowe esencje. Zakopał pazury głębiej. Mógłby tak zostać długie tygodnie, przyczepiony do ofiary — zanim ta w desperacji zrobi coś drastycznego, byle tylko się uwolnić.

— Precz! — krzyknąłem do stwora, kiedy przechodziłem obok. — Won! Won, draniu!

Gryźca aż skręciło. Tego się nie spodziewał. Machnął skrzydłami i śmignął na drzewo, zostawiając po sobie tylko smrodek. Duchy nie lubią, gdy zwraca się na nie uwagę.

Niestety, mężczyzna też mnie słyszał.

— Co, kurwa? — spytał z głębin swojego nieszczęścia.

— Przepraszam najmocniej. Musiałem pana z kimś pomylić — rzuciłem i poszedłem dalej.

Szczęśliwie dla niego, horda kłębiła się już poza parkiem, przed potężnym gmachem Muzeum Narodowego. Prowodyrzy ciągnęli ją w stronę niedalekiego Mostu Pokoju, ale sporo młodych postanowiło odpocząć na gzymsach dziewiętnastowiecznego budynku. Z rudą cegłą służącą za tło, gryźce i żerce wyglądały niemal na miejscu — jak rzeźby gargulców.

Wreszcie grupa się podzieliła. Podążyłem za stworami, które uparcie parły nad Odrę. Przejęte merdały ogonami, oblizywały jęzorami paszcze, trzęsły czułkami — a mnie nie opuszczało przeczucie, że to wszystko skończy się bardzo, bardzo źle. Nad mostem stado zatoczyło kilka kół, jakby czekając na właściwy moment. Nagle rozległ się skrzek: okropny dźwięk, podobny do tego, który wydaje kreda trąca o tablicę. Potwory runęły w dół.

Prosto na jednego z przechodniów pokonujących most.

Wyłuskały go precyzyjnie. Żaden nie zainteresował się innymi ludźmi (ci instynktownie ustępowali z drogi). Walcząc o pierwszeństwo przy łupach, potwory szczepiły się w masę wierzgających odnóży i trzepoczących skrzydeł. Zanim dobiegłem w pobliże, pokryły ofiarę tak gęstą warstwą, że pod kulą ruchomej czerni nie potrafiłem dostrzec człowieka.

Duchy zwykle nie walczą o pożywienie, a na pewno nie tak żarliwie. Rzadko

kiedy dwa stwory żerują na tej samej ofierze — i to już są ciężkie przypadki, kończące się szpitalem. Tak zmasowany atak na jedną osobę? Czyste szaleństwo.

— Sio! Precz! — krzyknąłem do stada, gdy byłem już wystarczająco blisko. Stwory nie zwróciły na to uwagi, zbyt zajęte sobą. Coś kompletnie wypaczyło ich instynkty. Smakowite kąski przechodziły im koło nosów — dosłownie: przecież centrum miasta, dzień w pełni. Ludzie podatni na ich sztuczki musieli się tutaj znaleźć. Ale nie, głupie bestie chciały spróbować tylko tego jednego nieszczęśnika.

Zakreśliłem w powietrzu kilka symboli rozpraszających, wyrecytowałem stosowne formuły. Nie tylko duchy znają sztuczki — mam kilka własnych, głównie do obrony. Nie każdy potwór peszy się, kiedy mówię „cześć”.

Tym razem żadna z formuł nie zadziałała. Solidarnie mnie zignorowano. Nic zaskakującego, tałatajstwa było zbyt wiele. Pozostała jedna rzecz: skorzystać z zaklęć dziadka, tych specjalnych, na szczególne okazje. Wolę nie robić tego publicznie, ale czasem nie ma wyjścia. Moje czary działają jak chcą, jego działają zawsze.

Z torby wyciągnąłem stary notes obłożony czarną skórą i przekartkowałem do odpowiedniej strony.

— Na Marksa i Lenina! — wezwałem dobitnie, pełnym głosem. — Chwała imieniu Stalina! O, mądrość twa, rzeka szeroka! W ciężkich turbinach przetacza wody, płynąc wysiewa pszenicę w tundrach, zalesia stepy, stawia ogrody. Ludzie zbudzeni na ziemi swojej, łamią się chlebem, dzielą pokojem. Ty ich opływasz, rzeko rozumna, ty wiejesz zdrowiem, wiatrem urody. Przebijasz góry, rzeko podskórna; łączysz narody!

Szamotanina zelżała. Jeden po drugim, duchy odlatywały w różne strony, łypiąc na mnie, jakbym powiedział coś wyjątkowo niestosownego.

Cóż, podobne miny mieli mijający mnie przechodnie.

Zaklęcie jednak zadziałało — to najważniejsze. Wzmocniłem je, sypiąc na cztery strony świata sól jodowaną i powtarzając za dziadkowym przepisem:

— Bije godzina niezapomniana, zakręt historii, druga zmiana. Trzeba zwycięstwu drogę torować. Marsz rozpoczęty, partio prowadź!

Coraz mniej stworów krążyło nad ofiarą i coraz lepiej widziałem, że to wysoki — wyższy ode mnie — mężczyzna w szarym garniturze. Ubiór raczej z kategorii roboczych: solidny, neutralny, zgodny z korporacyjnym dress codem, czyli nudny. Ciekawe były zagniecenia, ogólne wymiętolenie, jakby właściciel nie przebierał się od dobrych kilku dni.

Najwięcej duchów latało wokół twarzy, więc dopiero po dobrej chwili mogłem ją zobaczyć. Podkrążone oczy, niechlujny zarost, chorobliwa bladeść — nie wyglądało to na efekt nagłej napaści. Świadczył o niej błędny wzrok, być może. Chwiejność kroku. Stróżka krwi, która raptem pociekła z nosa. Mężczyzna zatoczył się, na dobre wychodząc spod chmury straszydeł. Oparł dłonie na stalowej barierze mostu.

Wtedy — dopiero wtedy — zauważyłem dziwną deformację wokół jego szyi,

coś jak powidok po niespodziewanym błysku. Zmrużyłem oczy, przetarłem je. Gdy spojrzałem ponownie, mózg już wszystko sobie ułożył. Już wiedziałem, na co patrzę.

Wokół szyi delikwenta objawiło się widmo czarnej obroży, splecionej z grubych, pokrytych kolcami łodyg. Tak to wyglądało w pierwszej chwili. Moment później kłacza ruszyły niczym węże, zawężając uścisk i szarpiąc skórę. Już sądziłem, że wyrastają im łuski, pojawiają się gadzie łby, aby kąsać i pluć jadem. Tyle że nie — wizja prysła, kiedy dostrzegłem przedłużenie obroży: sznur pnący się ku niebu, między chmury, hen, hen wysoko. Zbyt długie to na ogon, idealne na smycz. I od tej pory tak to właśnie postrzegałem — smycz i obroża. Inaczej zjawisko nie miało sensu. Brakowało nazw, brakowało konkretów; nikt nie mógł potwierdzić, że widzę, co widzę. Gdybym miał o tym mówić, mówiłbym jak o na wpół zapomnianym śnie, albo jak o czymś, co dostrzegłem tylko kątem oka. Wszystko by mi umknęło. Zwykłym ludziom umyka bez przerwy.

— To bardzo zabawne, co tu zrobiłeś — powiedział mężczyzna, rozbieranym wzrokiem lustrując ślady rozsypanej soli.

— Tak, tak... Wie pan, jestem artystą. To taki performans. Dobrze się pan czuje?

— Nigdy nie czułem się lepiej — odparł z dziwną lekkością. — Te motyle, które rozpędziłeś... One są takie same, jak kiedy byliśmy na wsi. Nazwaliśmy je Herakles i Eureka.

Rozejrzał się wokół. Smycz zadrgała niespodzianie, wydając ponury, bardzo niski dźwięk.

— Jest pan pewien, że wszystko w porządku?

— Oczywiście! — Uśmiech rozjaśnił jego twarz. — Walczyliśmy na polanie czaszek, ramię w ramię, czyż nie? Krew Akwilończyków lała się strumieniami. Pamiętam. Podstępny Tot-Amon rozdzielił nas za pomocą tchórzliwej magii. Wysłał mnie do innego czasu i innego świata, abym zapomniał, zatracił siebie. Podły plan, godny niego. Ale ja pamiętam. Pamiętam! Prowadź mnie do pałacu.

Zamilkł na chwilę, jakby słuchając odpowiedzi, której nie udzieliłem. Nagle uśmiech zniknął, przekształcony w maskę troski.

— Gdzie ja jestem? — zadrżał mu głos. — Nie, nie, nie... Byłem tu, na Kroma! Byłem tu w czarnej godzinie, gdy wszystko zostało stracone. — Rozejrzał się ponownie, bardziej nerwowo. — Gdzie ona jest? Musimy stąd wyjść razem. Nie wolno jej zostawić, przecież sama nie odnajdzie drogi. Zgubi się. Zostanie tu na zawsze. Gdzie ona jest, mówże!

Smycz zawodziła posępnie: echo jego niepokoju.

— Dobrze — powiedziałem. — Na to też mogę poradzić. Niech się pan nie rusza.

Wyciągnąłem komórkę i wyłuskałem z notatek zakłęcie, wyszperane wcześniej na krańcach internetu. Kiedy człowiek wie, czego i jak szukać, sięc staje się niewyczerpanym źródłem wiedzy, choćby i tajemnej. Kiedy nie wie, ogląda koty lub zdjęcia cudzych posiłków.

— Nase, dewo druszez! Nase, dewo czidre! Nase, dewo frakaraszte! — intonowałem, będąc niemal pewnym, że pradawni autorzy egzorcyzmu łamaliby ręce nad moją wymową. — Apa, druszez! Apa-nase!

Reakcja nastąpiła od razu. Smycz napięła się, obroża zawężyła. Działo — jakoś. Za słabo.

— Apa-nase! Apa-nase! — naciskałem, lecz duch po drugiej stronie nie dawał za wygraną. — Do jasnej cholery! „Apa-nase” znaczy wypierdalaj! Więc wypierdalaj, skurwysynu! Wypierdalaj!

Dopiero to zawołanie odniosło skutek.

Smycz pękła jak struna. Jeden jej fragment poszybował w górę, ku niebiosom. Drugi z impetem uderzył w beton pod naszymi stopami. Mężczyzna złapał się za szyję, na której ciągle tkwiło widmo obroży.

— Nie. Nie mogę bez niej... — wycharczał, po czym przewrócił oczami i padł na wznak.

Podbiegłem do niego. Oddychał — głęboko, rytmicznie, jak śpiący.

— Ej, ej, pobudka. — Klepnałem go lekko w policzek, bez rezultatu. Poluzowałem mu więc krawat i rozpiąłem dwa guziki koszuli. Torbę zawinałem we własną kurtkę, po czym wsunąłem ten pakunek biedakowi pod łydki. Tyle pamiętam z kursu pierwszej pomocy, który zrobiłem przecież dawno temu, podczas studiów. Jeśli to tylko omdlenie — zaraz powinno minąć.

— Co tu się dzieje? — męski głos za plecami.

Odwróciłem się. Facet w szaroburej bluzie z kapturem, czarnej koszulce z napisem „Metallica”, w dresowych gaciach i z brudnymi adidasami na stopach. Ot, statystyczny Polak, pi razy drzwi.

— Człowiek zemdłał — wyjaśniłem. — Jeśli się zaraz nie obudzi, trzeba wezwać karetkę.

— Jasne, jasne. Ty coś zrobiłeś! — zabrzmiało nagłe oskarżenie. — Widziałem. Jakieś machanie łapami, potem krzyknąłeś do niego i ten upadł. O co kaman?

Inni przechodnie patrzyli na naszą trójkę, ale nie zatrzymywali się, wygodnie uznając, że sytuacja jest pod kontrolą. Ludzka bierność, na nią zawsze można liczyć. Przystanąć, zapytać, pomóc — to przecież wstęp do jeszcze większego zaangażowania. Potem głupio odejść ot tak, z czystym sumieniem.

Oto trafił mi się jednak ktoś odważny; pozbawiony strachu przed własnym współczuciem, które podstępem zmusza do marnowania zasobów na cudze dobro. Człowiek stawiający pytania, przejęty losem innych. Krótko mówiąc, obywatel wzorowy.

Tyle że im dłużej patrzyłem na szanownego kolegę, tym mniej prawdopodobna wydawała się ta wizja. Oczy świeciły mu jakoś niestosownie — wścibsko i złośliwie. Usta krzywiły się na granicy kpiny. A że do tego rysy miał toporne, sprawiał wrażenie tępego szczeniaka w poszukiwaniu taniej rozrywki. Sę, bardziej niż Samarytanin.

Rzeczywiście, tylko jego mi brakowało.

— Jesteś w ukrytej kamerze — stwierdziłem, patrząc mu prosto w twarz. — Widzisz, tam — wskazałem gęste krzaki na brzegu Odry. — Tam siedzi ekipa.

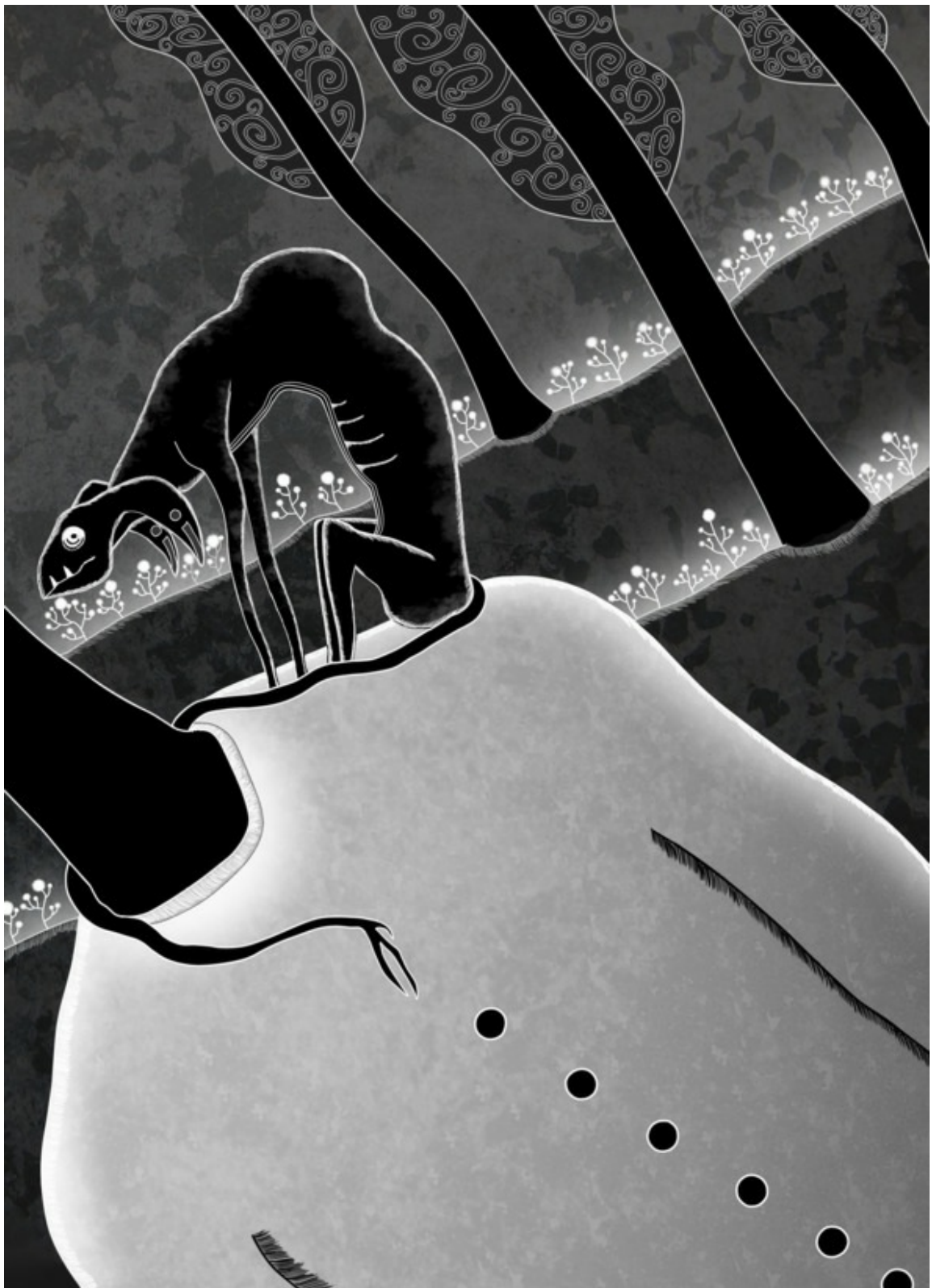
Przybysz wybałuszył oczy.

— O, cholera — wyznał. Mina mu zredła. Wybełkotał coś bez ładu i rozpoczął odwrót na bezpieczne pozycje poza zasięgiem obiektywu.

Może i sęp, ale przynajmniej idiota.

Zerknąłem na komórkę. Minęły już ponad dwie minuty, a mężczyzna w garniturze dalej leżał nieprzytomny. Co więcej mogłem zrobić? Wszystkie te czary-mary nie działają bezpośrednio na ludzi. Wklepałem 999 na telefonie.

Nazywam się Tomasz Zając i jestem ostatnim potomkiem długiej linii psychopatów, sadystów i zwykłych małych skurwieli, którzy zupełnym przypadkiem byli również potężnymi czarnoksiężnikami. Te dzisiejsze widoki — dla mnie to dzień jak co dzień.



Retrybutor

Mężczyzna w garniturze to Adam Ksztyna, lat trzydzieści sześć. Jego dowód osobisty wystawił burmistrz Czepicy na Dolnym Śląsku. Tę samą miejscowość dokument podawał jako adres zameldowania — prawdopodobnie nieaktualny, sądząc po datach i młodzieńczym zdjęciu.

W portfelu zastałem karty płatnicze trzech różnych banków oraz kolekcję wizytówek adwokatów, radców prawnych i samego pana Ksztyny. Na tych ostatnich stało „manager ds. sprzedaży, BestSoft International”. Poza tym: żadnych pieniędzy, ani banknotów, ani bilonu.

Sądząc po porządnym ubiorze, spodziewałem się znaleźć też zegarek, a przynajmniej komórkę. Nic z tych rzeczy. W wewnętrznej kieszeni marynarki — zdjęcie młodej, uśmiechniętej blondynki. Widok przyjemny dla oka, ale dziewczyna jak każda inna; pełno takich modeli na stockach.

Najciekawsze znalezisko trafiło się na koniec. Kieszonkowe wydanie przygód Conana Barbarzyńcy o dumnym tytule „Conan Retrybutor” — cokolwiek miałyoby to znaczyć. Książka straszyła okładką, na której góra mięśni zaplątała się w supeł podczas nieudanej próby przyjęcia heroicznej pozy. Tom nie był większy od mojej dłoni, do tego dość cienki (ostatnia strona nosiła numer 136). Nie wiedziałem, że cokolwiek z tej serii wydali w tak małym formacie.

Spisałem dane z dowodu, na wszelki wypadek. Blondynce najpierw pstryknąłem własną fotkę telefonem, ale po namyśle zabrałem też oryginał. Magia wróżbiarska kiepsko działa z elektronicznymi obrazami, a nie wiadomo, czy nie będę musiał z niej korzystać. Z książką postąpiłem podobnie, bezczelnie pakując ją do torby. Coś w bełkocie pana Ksztyny kojarzyło się z historiami o Conanie — a w świecie duchów prawdziwe przypadki nie istnieją.

Pogotowie przybyło szybko jak na Wrocław, już po kwadransie. Niestety, ratownicy nie potrafili ocucić pacjenta. Lekarza bardzo niepokoiły moje zapewnienia, że Ksztyna padł na ziemię jak stał, ot tak. No ale musiałem kłamać. Gdybym powiedział prawdę, pewnie zabraliby nas obu.

Kiedy odjechali, zrobiłem krótki spacer po okolicy, rozpraszając pozostałe grupki potworów. Samotne duchy stanowią mniejsze zagrożenie. Paradoksalnie, w ten sposób rosną też ich szanse na przetrwanie — na to jednak niewiele mogłem poradzić. Pozostało mieć nadzieję, że nadciągającej zimy ludzie nie będą tak przybici, jak zwykle, a więc skuteczniej obronią się przed wpływem tych istot.

Do mieszkania wróciłem dopiero wieczorem.

Wspiąłem się na trzecie piętro poniemieckiej kamienicy. Na parterze znowu śmierdziało moczem i brudnymi skarpetami — pamiątka po gościach meliny pod dwójką — ale odór słabł, im wyżej wszedłem. W pieleszach powitała mnie woń starych książek i mokrego psa.

Mam mnóstwo książek. Nie mam psa. Jego zapach brał się z komody w przedpokoju. Trzymam tam schwytane duchy, wszystkie w specjalnych pojemnikach, z których o własnych siłach nie potrafią uciec. Dla większości niewola to tymczasowa niedogodność. Prędzej czy później je wypuszczę — wtedy, gdy będę potrzebować ich zdolności. Są tam jednak i takie bestie, które nie liczyły się z życiem swoich ofiar, a na wolności z pewnością sprowadzą cierpienie setkom, jeśli nie tysiącom osób. Tych stworów nie da się wyzwolić. Nawet gdybym został do tego zmuszony — ich los już nie jest w moich rękach. Mogę tylko czekać, aż ztracą formę i rozpadną się na elementy podstawowe. Za kilka wieków, lekko licząc.

Posiadanie takiej kolekcji przynosi korzyści, ale ma też wady — jak dziwne zapachy w domu. Wiele pojemników nie jest idealnie szczelnych. Znaki ochronne powstrzymują ducha, konkretną formę, ale nie każdy rodzaj esencji, którą zdoła wytworzyć. Ostatnio często pachnie pomarańczami albo świeżym chlebem. Tym razem padło na mokrego psa. Nie narzekam, mogło być o wiele gorzej, naprawdę.

Otworzyłem okna, żeby przewietrzyć.

— Ażamsaraszandal — wymówiłem zaklęcie podtrzymujące sieć symboli ochronnych wokół drzwi, wywietrzników, odpływów, kranów, zlewów, prysznic, muszli, pralki, każdego z gniazdek, no i oczywiście otwartych już okien.

— Ażamtybardur — dorzuciłem formułę na wzmocnienie ścian, sufitu i podłogi. Przezorny zawsze zabezpieczony.

Mieszkanie nie jest duże, czterdzieści parę metrów. Starczyło miejsca na wydzielenie małej sypialni oraz jeszcze mniejszej kuchni. Reszta to salon, który robi jednocześnie za gabinet i rupieciarnię — no bo tak to wygląda. Przestrzeń dominują wypełnione klamotami półki oraz regał pełen książek, segregatorów i różnorakiej makulatury. Co się tam nie zmieściło, upchnąłem do kartonowych pudeł, zalegających po kątach. W oczy na pewno rzuca się zestaw afrykańskich bębnów, niezbędnych przy paru rytuałach. Pod sufitem wiszą trzy szkaradne maski, każda pokryta drobnymi znakami. Kilka psychodelicznych obrazów wisi na ścianach, kilka innych stoi zasłoniętych na podłodze. Najodleglejszy róg pokoju należy do wielkiego, starego lustra, które też zakrywam, tym razem tartanowym kocem.

Jest też telewizor, a skoro tak, musi być i kanapa. Obok niej biurko, wygodne krzesło, kosz na śmieci (zawsze pełen papierów). Duchy nie opłacają mi rachunków, więc na życie zarabiam jako grafik freelancer. Stąd dobry komputer, tablet, skaner i parę innych gadżetów, bez których praca nie byłaby wygodna.

Ogólnie, jest ciasno.

Zlustrowałem to wszystko uważnym spojrzeniem, wypatrując podejrzanych zniekształceń percepcji. Pomimo moich starań, mieszkanie nie jest twierdzą. Średnio raz na miesiąc coś tu włazi i zostawia niespodzianki. Tylko ta przeklęta komoda pozostaje naprawdę dobrze zabezpieczona.

Poszedłem do kuchni zrobić kawę. Ekspres, tani grat, syczał i burczał, jakby zaraz miał wywołać rewolucję.

— Założ związek zawodowy z lodówką i kibelem. Takiej presji nie wytrzymam — mruknąłem.

Wszystkie okna wychodziły na podwórko, a to jedyne w kuchni dodatkowo na ulicę, dobrze widoczną przez bramę. Jeszcze parę lat temu miałem tylko taki widok, szaro-bury, z odpadającym tynkiem. Aż zbudowali Sky Tower. Szklana wieża górowała nad okolicznymi kamienicami — i nad wszystkim w mieście — a w moich oknach prezentowała pełnię wdzięków. Mogłem podziwiać, jak kąpie się w pastelach zachodzącego słońca, jak iskrzy odcieniami fioletu, przechodzącymi w granat szyb; jak wszystko odcina się od szarości chmur w tle. Poezja.

To byłby naprawdę cudny budynek, gdyby tylko nie przypominał chuja. Za przeproszeniem.

Istniała jedna słuszna perspektywa, z której Sky Tower nie budziło fallicznych skojarzeń. Tej perspektywy używano w folderach reklamowych. Z każdej innej strony budowla była sobą bez skrępowania, a więc wszyscy ci biedacy z kamienic i bloków mogli podziwiać, jaki to pomnik postawił wielki kapitał ku własnej chwale. Nie trzeba kończyć studiów, żeby załapać symbolikę. Niestety, tubylcy nie docenili tej rzadkiej szczerości, a może wzięli przekaz za bardzo do siebie. W każdym razie, szybko Sky Tower ochrzczono mniej pochlebny przydomkami — takimi jak „Kompleks Czarneckiego”, od nazwiska inwestora.

No, ale miałem ważniejsze rzeczy do roboty, niż podziwianie polskiej myśli architektonicznej. Zabrałem kawę, usiadłem przy biurku i zacząłem wertować notatki dziadka. Główne źródło mojej wiedzy o świecie duchów. Niestety — niekompletne. Patriarcha rodu u kresu życia postradał zmysły, wpływy i majątek. Skończył w ściśle strzeżonym psychiatryku, a większość jego zapisków przepadła. Te, które udało mi się odzyskać, pokonały długą drogę z rąk do rąk antykwariuszy, zbieraczy kuriozów, okultystów i wszelkiej maści dziwaków. Nawet dla tych ludzi dziadkowe wynurzenia brzmiały jak bajki. Jedyne osoba autora dodawała bazgrołom powagi. Antoni Zajac, osobisty *wolszebnik* Stalina. Szara eminencja stojąca za polityką PRL lat powojennych.

Krew na rękach, jak sumował nasze dziedzictwo ojciec. Dołożył zresztą do puli własną porcję świństw, zostawiając mnie i matkę, gdy miałem sześć lat, a po jej śmierci — pozwalając, bym trafił do sierocińca.

Dobra, koniec. Rodziny się nie wybiera.

Notatki wypełniały rzędy kolorowych segregatorów na regale. Otworzyłem jeden z czerwonych, czyli z późnego okresu, gdy wywody często zbaczały z tropu, a myśli uparcie krążyły wokół niemożliwych ambicji. Przywracanie martwych do życia. Przetworzenie energii duchowej w moc elektryczną. Wykorzystanie sił nadprzyrodzonych w celu niszczenia opancerzonych pojazdów bojowych. Mam tego cały katalog.

Ten konkretny segregator zawierał opis rytuału, którym dziadek pragnął wygnać wszystkie duchy poza granice Polski. Wszystkie: od małych i nieszkodliwych po wiekowe demony. Karkołomny wyczyn; jak widać — nikomu jeszcze nie wyszedł. Być może dlatego, że instrukcje były zagmatwane i poszatkowane dygresjami. Raz Zając senior z egzaltacją opowiadał o uwolnieniu ludu ziemi spod jarzma pradawnych bogów. Później perorował o wyższości lewej ręki nad prawą przy czynieniu czarów. Ciągnęło się to przez długie akapity. Lektura męczyła, a jakby tego nie starczyło — materiał nie był kompletny. Brakowało przynajmniej kilkudziesięciu stron.

Jednocześnie, właśnie pośród dygresji znalazłem wzmianki o cierniowych obrożach, jak ta na szyi Adama Ksztyny. Dziadek nazywał je „sztampami” i pomstował, że potężne duchy oznaczają w ten sposób swych niewolników. Co ciekawe, żeby znamię nałożyć, potrzebna jest zgoda człowieka, jego uległość, choć zwykle pozyskana siłą lub podstępem. Później już na sztampie korzysta tylko duch, który go nałożył — i wcale niełatwo się spod jego mocy wydostać. Zwłaszcza jeśli jest stary i silny, zna wiele sztuczek, dobrze rozumie ludzi. Wtedy subtelna przewaga nad naznaczonym przeradza się w twardą kontrolę.

Jeśli wierzyć dziadkowi, sztamp pozwala korzystać ze zmysłów ofiary, wpływać na jej myśli, a w niektórych wypadkach również przejąć ciało — niezależnie od odległości. Wyjątkowo silne odmiany, cytuję, „emitują stembrowane pole autorytetu”. Nie mam pojęcia, co to znaczy. Z kontekstu wywnioskowałem tylko, że potężne bestie potrafią w ten sposób zapewnić sobie posłuch słabszych. Dziadek przywołuje przykład: eksperyment, który przeprowadził na duchach głodu, zmuszając je do porzucenia naturalnych terenów łowieckich i przeniesienia się wbrew instynktom do laboratorium. Wszystko dzięki odpowiednio wzmocnionemu sztampowi.

Dla Adama Ksztyny to złe wieści. Żadna klątwa, ta szczególnie, nie pojawia się przypadkiem. Adam musiał więc wejść w drogę staremu demonowi, zasłużyć najpierw na jego uwagę, a potem na niechęć. Duchy rozpaczy, które do siebie ściągnął, nie przybyły przecież w pokoju.

Co, jeśli po Wrocławiu chodzi więcej naznaczonych w ten sam sposób? Po świeżej dostawie młodych, ci ludzie ryzykują za każdym wyjściem z domu. Chyba że przesadzam, ale nawet w takim wypadku — duch zdolny do równie potężnej magii nie będzie siedzieć beczynn timer. Z pewnością zechce rozszerzyć swoje wpływy. Pozostawiony bez nadzoru urośnie w siłę, aż w pewnym momencie już nikt nie zdoła go powstrzymać.

Coś mi mówiło, że tej nocy łatwo nie zasnę.

Przesunąłem kartony z książkami, powiększając wolną przestrzeń w kącie pokoju. Kredą poprawiłem wyrysowany tam wcześniej pentagram. Ustawiłem świece, po jednej na każde z pięciu ramion gwiazdy. W specjalnym pucharku rozpałiłem zioła. Potrzebowałem jeszcze krwi. Z lodówki wyjąłem pojemnik z byczą, którą kupiłem tydzień temu w mięsny m. Już trochę śmierdziała, ale symbol to symbol — nie wietrzeje. Ulałem odpowiednią ilość do miski.

Nie mam pamięci do tych wszystkich zaklęć, więc na komórcę wyświetliłem poprawny zapis.

— *Hroiffe noinar slakke, noinar ine vlake. Vorsel vaala hnaki! Ine krahke drakki!* — przeczytałem w języku starszym od cywilizacji. Resztę wolno mi było dokończyć po polsku: — Wzywam cię w czarnej nocy, wzywam cię na granicy między światami, wzywam cię w potrzebie. Przybądź na mocy naszego paktu!

Chwilę później świece zaczęły kopcić jak polane benzyną, a smród spalin wypełnił pokój. Dziękowałem bogom, że tym razem nie zapomniałem otworzyć okien.

— Przybądź! — zdołałem wykrztusić i zasłoniłem twarz dłonią.

Jak na komendę, spomiędzy czarnych kłębow wyłonił się łeb — długi, gadzi, stworzony do prezentowania bogatej kolekcji dorodnych zębów. Stwór przewrócił żółtymi ślepiami na mój widok. Stęknął. Paszcza popłynęła ku centrum pokoju, ciągnąc za sobą długie węzowate cielsko. Czarne łuski za czarnymi łuskami; nie doczekałem do ogona. Dopadłem okna, wdychając miejskie powietrze haustami.

Gdy się odwróciłem, mój gość lewitował wokół żyrandola, między trzema maskami. Ciało wykręcał w serpentyny, a był na tyle wielki, że skutecznie zasłaniał cały sufit. Mieszkanie od razu wydało się ciasniejsze.

Oto pradawny Ofnir, jeden z lindormów. Najgroźniejszy drapieżnik świata duchów.

— Nie sądziłem, że można to leże zagracić jeszcze bardziej, ale widzę, że twój zapał przerasta moje oczekiwania — mruknął, łypiąc dookoła.

— Mam coś dla ciebie — odparłem.

— Och — jęknął, jakby mu wrzucono ciężary na kark. — Nie ma nawet północy. Twoja pora żeru jest barbarzyńska, dobrze wiesz, a i tak wzywasz mnie bez pytania.

Ofnir lubił czasem pomarudzić, zwłaszcza jeśli złapać go przed pierwszym posiłkiem.

— Wybacz, nie mogłem czekać.

— Nie mogłem czekać, doprawdy — zasyczał. — Gdy bogowie tworzyli świat, nie mogli czekać. Gdy zima ustępuje miejsca wiosnie, nie może czekać. Ty, cielesna istota, nie możesz czekać, kiedy chcesz opróżnić swą powłokę z płynów ustrojowych. Na wszystkie świętości, twoje „nie mogłem czekać” znaczy dla wszechświata dokładnie tyle, co frustracja mrówki.

Gdy mówił, podszedłem do kredensu i wyciągnąłem stamtąd ozdobiony tajemnymi symbolami słoje. W środku, za grubym szkłem, kulił się włochaty stwór — czarne oczka i mały nosek, zagubione w falach srebrnej sierści.

Podsunałem ofiarę smokowi przed nos.

— Co to jest? — spytał podejrzliwie. Obwąchał pokrywkę. Wybałuszył ślepie. — Pachnie jak jedzenie.

— Nie było łatwo go znaleźć. Krył się na strychu starej kamienicy, którą ze wszystkich stron oblepiły duchy wstydu. Jeden z mieszkańców przyciągał je jak

magnes. Przegnałem wszystkie dla świętego spokoju i jak już zrobiło się mniej tłoczno, zauważyłem jego.

Smok mlasnął zniecierpliwiony.

— Aromatyczne. Naprawdę niezwykły zapach... — mrucał z nosem przy słoju. — Ciekawe znalezisko.

— Mój dziadek nazywał je winnikami. Żywią się, jakby to ująć... żywią się rzeczami ulotnymi, subtelnymi emocjami. Pochłaniają miłe i ciepłe wspomnienia. Ten tutaj przyzwyczał się tak mocno do jednej karmy, że nie potrafi już jeść niczego innego.

— Co to za karma?

— W kamienicy mieszka staruszka, która słucha starych piosenek z płyt winylowych. Różne rzeczy, ale głównie kawałki z lat sześćdziesiątych. Przypuszczam, że to muzyka jej młodości. Wieczorami siadała w fotelu, nastawiała adapter, a nasz delikwent fruwał obok i spijał jej emocje. Myślę, że przeżyli razem wiele lat.

Spojrzeliśmy z Ofnirem na stwora w słoju. Złapałem go, gdy był syty i nieruchawy, dopiero co po solidnym posiłku. Pozwolił się bez walki zamknąć pod pokrywką, w ramach sprzeciwu posyłając tylko melancholijne spojrzenie. Teraz nie pozostała mu nawet odrobina tamtego spokoju. Wystraszone ślepie śledziły każdy ruch smocznej paszczy. Włochate ciało przywarło do szkła po mojej stronie, byle tylko znaleźć się dalej od drapieznika.

Biedny skubaniec.

— Dobrze, człowieku. Przyjmuję twój dar — orzekł smok.

— To nie jest do końca dar...

— No tak. Znowu — stęknął. — Pamiętam czas, gdy na moją cześć stawiano kamienne kręgi. Przywoływano mnie tylko po to, żeby podziękować za istnienie. Żywią się przecież tym, co żywi się na was, czyż nie? Samo moje trwanie jest dla was błogosławieństwem. Beze mnie twoja nędzna rasa...

— Muszę cię prosić o przysługę — przerwałem mu. — Dla ciebie to drobnostka, a nikt inny nie zrobi tego lepiej.

Małe pochlebstwo potrafi działać cuda.

— Mówże — warknął.

— Dzisiaj wyroił się wielki miot duchów rozpaczy... To znaczy, takich czarnych, wrednych... ech... żerujących na...

Ofnir ma nieco inny ogląd na sprawy nadprzyrodzone i do tego nie czytał opracowań mojego dziadka.

— Człowiecze, istnieję już trochę na tym świecie. Wiem, co nazywasz „duchami rozpaczy”. — Prychnął dymem. — Kiedyś nawet przekonałeś mnie, aby jednego pożreć. To szczególny przypadek, mówiłeś. Duch zupełnie wyjątkowy. Na pewno mi się dobrze w żołądku ułoży — dodał kwaśno. — Smakował jak odpady.

— O, to właśnie o te stwory mi chodzi!

— Jakże się niezmiernie cieszę — mruknął.

— Słuchaj, to ważne. Wyroliła się cała horda. Powinny się rozproszyć, ale zamiast tego dopadły tylko jedną ofiarę. Skupiły się na niej wszystkie, pierwszy raz coś takiego widziałem. Mam teorię, że...

— Na wszystko, co święte.

Smok patrzył na mnie jak na idiotę.

— Słucham? — spytałem naiwnie.

— Istnieje, jak to poetycko ująłeś, cała horda tych popłuczyn po waszych neurozach. I pewnie chcesz, żebym coś jakoś im zrobił. Czy ty masz w ogóle pojęcie, jaka to męka dla moich zmysłów?

— Tak, ale... To znaczy, nie...

— Cała horda! Cała. Horda. To tak, jakbyś wleciał do dołu pełnego, jak wy to mówicie, gówna. A potem, drugi raz, trafiłbyś na całe jezioro gówna i wpadł na ten genialny pomysł, żeby się w tym gównie wykąpać. Bo przecież nie będzie gorzej, niż było za pierwszym razem.

— Posłuchaj...

— Albo to jest tak, że wchodzisz do śmierdzącego wychodka, robisz tam to, co twoja rasa umie najlepiej, a potem wychodzisz i okazuje się, że pada. Tylko to nie woda leci, ale gówno. No i postanawiasz zatańczyć w tym deszczu nago.

— Czy te durne analogie do czegoś prowadzą?

— Albo, jeszcze lepiej, idziesz ulicą. No i wdeptujesz w gówno. Postanawiasz zrobić własne, żeby...

— Dobra! Już! Nie chcę, żebyś robił cokolwiek tym duchom!

— No, i załatwione. W ramach podziękowania za szczęśliwe rozwiązanie twojego problemu, możesz mi złożyć ów smakowity posiłek w ofierze.

Zignorowałem go.

— Mam teorię, że duchy zainteresowały się tylko jedną ofiarą, ponieważ chciała tego potężniejsza od nich istota. Ta istota naznaczyła człowieka w taki sposób, żeby nie było wątpliwości, że to jej własność. Komunikat skierowany do innych duchów. Skoro tak, powinieneś móc go odczytać lepiej, niż ja. Muszę wiedzieć, co to za potężna istota, gdzie ma leżeć, czy stanowi jakieś zagrożenie. Zresztą, dowiedz się, czego zdołasz. Może samo znamię zostawia więcej śladów, niż mi się zdaje. Może jest więcej podobnie naznaczonych ludzi w mieście.

— Zaiste — westchnął Ofnir. — Na co ci taka wiedza?

— Lubię wiedzieć różne rzeczy.

A im więcej wiem, tym pewniej odróżniam zagrożenia wymagające interwencji od spraw, które najlepiej zostawić naturalnemu biegowi. Nawet duchy podłe i silne mogą być w sumie nieszkodliwe — kiedy wziąć pod uwagę ich całkowity wpływ na otoczenie.

— Niech i tak będzie — mruknął smok. — Gdzie jest ten człowiek, o którym mówisz? Nie czuję tu nowego zapachu.

— W szpitalu — zacząłem, ale przerwał mi z irytacją:

— Masz jakąś rzecz, która do niego należy?

Książka! Wyciągnąłem z torby „Conana Retrybutora”, podsunąłem

smokowi. Wąchał uważnie, kilkakrotnie zaciągając się jak nałogowiec. Wreszcie wypuścił smugę dymu i powiedział:

— To wszystko?

— Tak.

— Otwórz słoik, człowieku — zagrzmiał.

Odkręciłem wieczko. Winnik znieruchomiał wewnątrz szklanego więzienia. Ofnir przesunął nozdrza nad otwór, z satysfakcją wciągnął powietrze — po czym wystrzelił językiem długim i giętkim jak u ropuchy. Duszek zniknął między zębami. Jego żałosny pisk urwał się po pierwszym kłapnięciu paszczą.

— Mmm... Doskonale — drapieżca mrucał z rozkoszy. — Człowieku, dobiliśmy targu. Niebawem powrócę z wiedzą, której pożadasz.

To rzekłszy, wypłynął majestatycznie w ciemność za otwartym oknem.

Zostałem sam. Zegar na ścianie pokazywał już jedenastą. Dla mnie to wczesna pora, więc wróciłem do dziadkowych notatek. Już po paru stronach oczy rozbolewały ze zmęczenia, a kark zaczął sztywnieć. Widać byłem bardziej wykończony, niż mi się zdawało. Otworzyłem więc piwo. Skręciłem jointa. Usiadłem na kanapie. Gdy nie mogę spać, ta kombinacja ostatecznie sprowadza mnie do łóżka.

Marihuana pozwala odpocząć od duchów. Podobnie działają niektóre psychotropy, ale kosztem poważniejszych efektów ubocznych. Trudniej je też dostać; w rozsądnej cenie — tylko na receptę. Trzeba biegać po psychiatrach, symulować, bo jeśli rzeczywiście coś mi dolega, nie mieści się w zgrabnych kategoriach. „Nie wiem, co panu jest, więc schizofrenia.”

Tymczasem maryśka dostępna jest bez ceregieli, o każdej porze dnia i roku, z dostawą do domu.

Zaciągałem się dymem konopnym, popijałem alkoholem — i czułem jak zmysły zaczynają drętwieć. Po paru łykach podszedłem do okna, żeby ocenić efekt. Ciągłe dostrzegałem duchy — nigdy nie stają się niewidoczne — ale były mniej wyraźne, pozbawione szczegółów. Sky Tower majaczył w oddali: czarna bryła, przetykana segmentami rozświetlonych pięter. Większość apartamentów stała pusta, ale nie wszystkie. W niektórych spali ludzie, więc najróżniejsze istoty chciały wdrzeć się do ich snów. Gdyby nie zioło, widziałbym nawet stąd, że to nokturniki i majaki, mamidla, zmorki i dusiołki. Rozpoznałbym je po ogonach, skrzydłach, po locie i prędkości. Ale odurzony dostrzegałem tylko skupiska energii, błyskające i gasnące jak iskry nad ogniskiem.

W jedno zlewały mi się też duchy bliższe. Te, które fruwały nad podwórkiem, od szyby do szyby, zostawiając za sobą wielobarwne powidoki. Po chwili w ogóle nie rozpoznawałem, który stwór jest który; wszystko zamieniło się w wir światła.

Poza jedną bestią, co wylądowała na moim parapecie. W pierwszej chwili wyglądała jak skrzydlata fretka, albo latający sum, ale wystarczyło mrugnąć — i już kojarzyła się tylko z owadem. Jedyne, co było stałe, to spojrzenie: drapieżne, zwierzęce, głodne.

Buchnąłem w ducha dymem. Nie tacy jak on próbowali.

Senność nie nadchodziła. Jeśli już — czułem ciężar, jakbym fizycznie coś dźwigał. Przecież tylko ja widziałem te cuda. Gdybym nie znalazł zapisków dziadka, byłbym zwariował. Mało brakowało. Był czas, że nie wierzyłem własnym zmysłom. Udawałem przed sobą i światem: wszystko w porządku. Jestem zupełnie normalny. Proszę spojrzeć, w ogóle nie przerażają mnie tłumy, cmentarze, stare budynki i ciemne piwnice. Żaden problem, mogę zwyczajnie rozmawiać z kimś, komu potwór sufluje odpowiedzi do ucha. Nikt na to nie zwraca uwagi, więc ja też nie będę.

W końcu wylądowałem w psychiatryku po próbie samobójczej. Odratowali mnie, bo nie wiedziałem, że trzeba ciąć wzduż żył.

Później przez długi czas była ciemność. Wyciągano mnie z niej w ponemieckim szpitalu, w pomieszczeniach z małymi, zakratowanymi oknami, za którymi zawsze widziałem szare niebo i kominy fabryk. Takie miejsca pełne są duchów — wiekowych, bezczelnych, spasionych. Choroba dodatkowo je przyciągała. Odbijało mi, gdy słyszałem ich szepty. Widziałem ruch kątem oka — i zaczynałem krzyczeć. Ale nikt w to nie wierzył. Nawet gdy szkarada włąziła lekarzowi na głowę, pakowała macki do nosa i uszu, ten tylko pobłażliwie przytakiwał.

No więc cóż, opornego pacjenta szprycowano środkami uspokajającymi. Siedziałem po nich jak warzywo, wpatrując się w te piekielne okna. Wtedy chwyciło dziwnie wyzwajające przeczucie, że nic nie ma sensu. Każdy ruch będzie zmarnowany. Każde zwycięstwo przysporzy tylko cierpienie. Prawdziwa wolność przychodzi dopiero po śmierci, przed nią — jest tylko wstyd.

Okna wtedy, okno teraz. Zamknięte koło.

Wszedłem na parapet, obok ducha. Niedopałek rzuciłem w dół. Spadał na podwórko długo, niewinnie — czerwona iskierka — aż uderzył w bruk i zgasł. Nic prostszego. Wystarczył krok naprzód.

— Dalej. Będzie dobrze — usłyszałem kojący szept tuż przy uchu.

Wtedy dotarło do mnie, że stoję na parapecie. Stoję na pieprzonym parapecie! Straciłem równowagę i mało brakowało, a poleciałbym w przód, na spotkanie z ziemią. Odepchnąłem się jednak od framugi i runąłem do tyłu, plecami na podłogę.

— Kurwa mać! — wyplułem.

Duch wpełzł do środka. Zatrzymał się i syknął, gdy zauważył otaczające okno symbole. Trzeźwiałem, więc widziałem go coraz wyraźniej: kłębowisko lepkiej czerni. Esencja przelewała się jak ciecz z jednej formy w inną. Kły i macki, szpony i kolce. Istota prosto z koszmaru.

Ręce miałem brudne jak od sadzy. Ślad dotyku potwora. Od dłoni na resztę ciała powoli rozchodził się otępiający ból. Próbowiałem wstać, odejść byle dalej — do biurka po amulety ochronne, albo przez przedpokój do zlewu, zmyć skazę.

Zdołałem podnieść się na klęczki, kiedy niewidzialna siła rzuciła mną o podłogę. Wokół szyi zacisnął się lodowaty węzeł.

— Jesteś robakiem — szept koło ucha. — Pełzaj jak robak.

Głos brzmiał beznamiętnie. Nie było w nim pogardy czy niechęci — tylko dziwna presja, jakbym sam sobie wydawał rozkazy. Czołgałem się więc pomimo odrętwienia, jak przez błoto. Nawet nie próbowałem już wstać. Członki prędeż posłuchałyby głosu.

— Zabrałeś coś mojego, a moje znaczy moje, złodzieju. Chcesz coś ode mnie, musisz zapłacić. Czy nie na tym polega wasza sprawiedliwość? Więc zapłacisz, teraz. Do okna!

Nagle wystrzeliłem w górę, choć świadomie nie ruszyłem ani jednym mięśniem. Odwróciłem się na pięcie, jak marionetka w rękach lalkarza. Ruszyłem prosto na okno. Zatrzymałem się z ciałem w połowie przewieszonym za parapet.

Wokół szyi — uścisk. Z trudem przekrzywiłem głowę. Na gardle coś czarnego, grubego jak szalik, ale szorstkiego, chwilami ostrego. Każdy wdech to ukłucie bólu. Dopiero po chwili mój otępiały umysł skojarzył: obroża. Obroża jak na szyi Adama Ksztyny. Gdy zrozumiałem, na co patrzę, zobaczyłem też smycz. Czarna struna łączyła mnie i zmiennokształtnego ducha, motała się w jego wnętrznościach, a potem pięła w górę, ku gwiazdom.

— Odbij się i skacz — rozkazał głos.

Zebrałem całą siłę, jaka mi pozostała. Zacisnąłem ręce na framudze.

— Skacz! — Zniecierpliwiony syk.

Nase, dewo druksz. Zgiń, przepadnij. Nase, dewo czidre. Precz, dewo frakaraszte.

Jak mantrę powtarzałem w myślach słowa starożytnego egzorcyzmu. Im bardziej się na nich skupiałem, im szczelniej wypełniały mój umysł — tym słabsza była władza demona.

— Apa-nase. Wypierdalaj — wycharczałem przez zdrętwiałe wargi. — Apa-nase. Wypierdalaj.

Zmiennokształtny duch nastroszył się i czmychnął w dół, w cienie podwórka. Krzyżyk na drogę. Apa-nase. Smycz trzeszczała, naprężała się, aż wreszcie pękła. Uleciała ku niebu, a ja z impetem wpadłem z powrotem do mieszkania.

Wyciągnąłem szufladę biurka i łapczywie zagarnąłem amulety. Zataczałem się jak pijak, a z moich ust ciekł potok słów:

— Apa-nase. Wypierdalaj. Nie daruję. Wypierdalaj. Nie daruję. Nie daruję. Wypierdalaj. Nie daruję ci tego. Nie daruję ci tego, trafisz do słoja, zamknę cię, zamknę cię w komodzie. Nie daruję ci tego. Z dupy macki powyrywam. Skurwysynu, słyszysz? Słyszysz?! Nie daruję ci tego!



Koniunkcja fakapów

Zasnąłem dopiero nad ranem, a obudziłem się koło południa. Z łóżka zerwał mnie lęk, że znowu coś wlaźło i zaraz mi wskoczy na plecy. Rozejrzałem się: nic, pusto. Tylko szum w głowie. Nie potrafiłem jednak tego tak zostawić. Przed pójściem do łazienki obejrzałem każde okno, sprawdziłem wyrysowane kredą znaki oraz poprawiłem amulety, żeby wisiały dokładnie tak, jak radził dziadek. Wcześniej wzmacniałem i przestawiałem je całą noc — już sam nie byłem pewien, czy zadziałają.

Ta cała magia ochronna to jedna wielka nerwica natręctw. Nie wystarczy, że się człowiek obwiesi różnymi pierdołami: talizmanami z kości ptaków, mysich ogonów, czy inszego tałatajstwa. Trzeba jeszcze dbać, aby te cuda zawsze leżały we właściwej odległości od siebie, zależnej od fazy księżyca i pory roku. Istnieją jedynie słuszne kąty, pod którymi trzeba je ustawiać; cały zestaw zasad, jak je przechowywać, który amulet z którym łączyć. Nie trzymasz się zaleceń — nici z „kosmicznych korespondencji”, nici z „amplifikacji monad”.

Działający system ochrony przed siłami nadprzyrodzonymi wygląda jak awangardowa instalacja artystyczna, w najlepszym razie. W najgorszym: nie ma wątpliwości, że twórca był niespełna rozumu. Nie doszedłem jeszcze do tego poziomu maestrii. Być może dlatego duchy ciągle mi się włamują na chatę.

Skończyłem te rytuały. Na dłoniach nie miałem czarnych śladów; na szyi nie było obroży. Jakoś mnie to wszystko podniosło na duchu, więc najpierw wskoczyłem pod prysznic, a później do kuchni po kanapki. Przy śniadaniu włączyłem telewizor, skąd od razu zaatakowała morda polityka.

— Ta pani jest prostytutką. Z jej ust takie oskarżenia to jak szarganie symboli narodowych, bo ta pani wyciera sobie usta polską flagą, polskimi żołnierzami, którzy oddali życie za nasz naród, który tyle wycierpiał, a nie są to usta godne. Nie wiadomo, co te usta sobie w usta wcześniej wkładały.

Wszystko wypowiedziane bez mrugnięcia, czy choćby śladu głębszej refleksji na nalanej twarzy. Chleb z serkiem i dżemikiem tracił przez to na smaku. Może ja się za bardzo staram z tymi amuletami, skoro i tak byle straszdyła wlażą tu przez telewizor? Przeskoczyłem pilotem kilka kanałów, aż mnie znudziło: wszędzie programy o gotowaniu, sprzątaniu, ciuchach, no i powtórki telenowel wszelkiej maści.

Wyłączyłem pudło. Nie lubię jeść w samotności, więc został albo internet, albo książka. Już wstałem, żeby się przenieść z kanapy przed biurko — kiedy zauważyłem „Conana Retrybutora” rzuconego na ziemię, pod krzesło. Co mi szkodzi? Klapnąłem z powrotem i przeczytałem:

Podówczas Conan posiadał już był Oko Czamsziru, ale co z nim począł, kroniki

raczą nie mówić. Być może sprzedał szmaragd za o wiele mniejszą cenę, niż się spodziewał, najemnikom kabdzarskim, tudzież któremuś z watażków na wiecznie burzliwym pograniczu Ghulistanu. Być może stracił go na rzecz sprytnego a zuchwałego złodzieja, a może w alkowie dobrze wyposażonej damy, tudzież zgubił na bezkresnych stepach, podczas ucieczki przed pogonią dzikich jeźdźców z pustkowi Kamay. Najważniejsze, że gdy zaczyna się ta historia, nie miał już klejnotu, a wiodło mu się źle i nie starczało nawet na piwo, ani inne rozrywki.

Sprawdziłem, czy nie brakuje kilku kartek, ale nie — to naprawdę był początek książki. Dalej szło tak:

Siedząc w tawernie „U Tapszy”, Conan oglądał jędrny taniec biuściastej tancerki i zastanawiał się, czy starczy mu na kolejny napitek. Wąsaty Tapsza, gruby Turgańczyk w poplamionym fartuchu, rozjuszał się już na sam widok wielkoluda, ale nie miał czelności, aby go rzeczywiście wyrzucić, pomimo rachunku nieopłaconego od dawna. Conan ponuro rozmyślał nad ważkimi sprawami, gdy w drzwiach przybytku stanął przybysz w czarnym płaszczu podróżnym moluskańskiego kroju oraz zaciągniętym na głowę kapturze. Ów zauważył barbarzyńcę przy stole i podszedł, nie kryjąc się dłużej. Conan podniósł głowę i spojrzał na niego hardo i wreszcie zrozumiał, że podróżnik będzie mieć do niego sprawę, a skoro tak, to będzie mieć czym zapłacić za interes.

Przekartkowałem kilka rozdziałów. Wszędzie to samo — rozpaczliwa walka autora i tłumacza o to, kto bardziej spartaczy. Conan drętwy jak kołek, bohaterowie poboczni z kartonu. Język, który staje w gardle. Chwilami efekt był tak marny, że zabawny. Paradoksalnie, to właśnie ratowało książkę; można ją było czytać jako parodię. Opuściłem dopiero przy boleśnie szczegółowym opisie walki, rozlanym na kilkanaście akapitów. Po co Adam Ksztyrna nosił ze sobą takie dzieło? Jeśli chciał zabić czas w podróży, w pierwszym lepszym kiosku znalazłby ciekawsze pozycje.

Nie mówią już, że „Conan Retrybutor” był po prostu stary i zużyty. Aż sprawdziłem, czy nie ma stempli bibliotecznych (nie miał). Niektóre fragmenty pozakreślano, a na marginesach często znajdowałem krótkie notki — takie jak „za kamieniem nie sprawdził”, albo „to chyba shoggot”. Bez wątplenia tomik posiadał historię, choć trudno było ją jednoznacznie określić po zwykłych oględzinach.

Postanowiłem więc zbadać go magicznie. Skonsultowałem się z dziadkowymi zapiskami i wybrałem jeden z prostszych rytuałów wróżebnych. Zgodnie z zaleceniami przygotowałem rekwizyty: kadzidełko, wahadełko i specjalną, mocno kopnącą świecę. Oprócz tego, najważniejsze — pieczęć Marduka, czyli owalny fragment przejrzystego szkła, ozdobiony szeregiem symboli. Tego nie miałem. Znalazłem jednak spodek od szklanki, wystarczająco przeźroczysty, po czym namazałem flamastrem wszystkie znaki, których

wymagał przepis. Dziadkowe czary są mocarne, działają nawet z taką prowizorką.

Sam rytuał, jak rytuał. Dużo mamrotania pod nosem, machania rekwizytami i pobożnych życzeń, że się uda — więc mniejsza o szczegóły. Co się liczy, to że po pół godziny wszystko wreszcie zaskoczyło. Spodek pociemniał, z czasem przybierając atramentowy kolor, a dym świecy zaczął gęstnieć w kilku miejscach nad książką. Sprawdziłem wahadełkiem, który z tych punktów ma najwięcej energii. Tam umieściłem pieczęć i spojrzałem przezeń jak przez lupę. Z tej perspektywy „Conan Retrybutor” wyglądał na chaotyczne skupisko jaśniejących kropek.

Wedle zapisków, to oznaka przedmiotu dotkniętego przez magię. Nie mylić z przedmiotem magicznym, na którym celowo przeprowadza się czarnoksiężskie zabiegi. Takie ustrojstwo poznałbym po równomiernym rozmieszczeniu kropek, albo po tym, że tworzą wyraźny wzór. Książka z pewnością nie należała do tej kategorii — pod pewnym kątem przypominała rozbryzg fosforyzującej farby, pod innym, galaktykę świetlików. Z magią miała więc styczność przypadkiem.

Co, prawdę mówiąc, niewiele wyjaśniało. Duchów na świecie pełno, co potężniejszy potrafi zostawić podobny ślad. Jeśli tomik przeszedł przez wiele rąk, kropki mogły powstać w okolicznościach zupełnie niezwiązanych z Adamem. Co innego, gdyby „Conana...” zaklęto celowo; sprawa byłaby prostsza. Wspierając się własnym księgozbiorem, pewnie zdołałbym odkryć to i owo. Po co użyto magii, jak silnej, jakimi przywołano ją metodami? Może nawet — który stwór tego dokonał. Takich informacji nie da się wywnioskować z przypadkowego śladu. Potrzeba magicznego konstrukt, stworzonego z premedytacją, ze świadomym wysiłkiem.

I wtedy do mnie dotarło: istniał taki obiekt. Sztamp na szyi Adama Ksztyny.

Najbliższy szpital, do jakiego mogli go zabrać, stał na Traugutta. Zadzwoiłem tam, podając się za rodzinę pacjenta. Znudzony kobiecy głos po drugiej stronie najpierw kazał mi czekać, potem zapowiedział, że przełączy na neurologię. Chwilę później odebrała inna kobieta — choć równie znudzona — i musiałem tłumaczyć wszystko od nowa. Ostatecznie jednak, zyskałem potwierdzenie. Adam rzeczywiście tam leżał. Ciągle nieprzytomny.

Trzeba było tylko do niego pójść.

Po całonocnym budowaniu instalacji z amuletów jakoś nie cieszyła mnie ta wyprawa. Mimo wszystko, w mieszkaniu bezpieczniej, niż na zewnątrz. Lodówka pełna, internet jest, można długo siedzieć.

Tyle że to tak nie działa. Choć duchy miewają kły i pazury, nie walczą za ich pomocą. Zamiast tego mierzą swoją wolę, a czasem spryt — sprawdzają, kto kogo zmusi do uległości. W gruncie rzeczy jest to wojna psychologiczna. Chodzi o to, aby przeciwnik przyjął korzystną dla nas postawę; zrobił, co chcemy.

Zaliczyłem to — bezradność wobec nich. Uciekałem przed straszidłami; udawałem, że nie istnieją, nawet kiedy szkodziły bliskim mi ludziom. Pozwalałem brać wszystko, na co miały ochotę. Lepiej byłoby ich nie widzieć.

Ignorant przynajmniej nie rozumie, jak bardzo jest bezsilny.

Tak było wcześniej, w innym życiu. Teraz znam swoje dziedzictwo, wiem, kim jestem — kim muszę być. Właśnie dlatego zbieram każdy strzępek wiedzy pozostawionej przez przodków. Dlatego marnuję masę czasu na obserwację duchów, a potem siłę się na racjonalne wnioski. Jeśli nie potrafisz wyleczyć szaleństwa, musisz je zrozumieć. Tylko w taki sposób można odzyskać kontrolę.

Po wczorajszej inwazji instynkt podpowiadał, żeby się ukryć. Doświadczenie natomiast: że w ten sposób zrobię, czego duchy pragną. Tymczasem to nie ja mam się ich bać, ale one mnie. Nie ja mam oddać pole i schować się za murami, lecz przeciwnik. Tak właśnie powiedziałby dziadek. Jeśli w spokoju zostawię stwora, który się na mnie zawziął — zyska czas na zebranie sił. Dorwie mnie i tak, tylko później.

Musiałem wyjść.

Starannie dobrałem zestaw talizmanów, które miały mnie chronić w drodze. Na szyi — owalny drewniany medalik z wyrzeźbioną swastyką (bez skojarzeń, symbol słońca!). Na prawym nadgarstku rzemyk i żelazna blaszka. Na lewym — srebrna obręcz z misternym grawerunkiem złożonym z serii runów. Chyba godzinę zmarnowałem na ustaleniu optymalnej kombinacji. Spakowałem się, założyłem kurtkę, stanąłem przed drzwiami, po czym zawróciłem, zagarnąłem garść tego śmiecia z szuflady i wypakowałem kieszenie. „Czort z tym, nic mi nie będzie” — powtarzałem jak zaklęcie, schodząc po schodach na ulicę.

Tramwaj wyrzucił mnie niemal pod samym szpitalem.

Okolica niezbyt przyjemna. Traugutta, razem z Pułaskiego i Kościuszki, tworzy granicę „Trójkąta Bermudzkiego”, najbardziej zaniedbanej części Wrocławia. Kiedyś — też najbardziej niebezpiecznej. Teraz powstają tu apartamentowce, wprowadzają się studenci i klasa średnia, gentryfikacja postępuje w najlepsze. Wystarczy jednak zejść z głównych ulic, żeby poczuć dawny klimat. Ściany będą zrzucać tynk, z mijanych bram będzie śmierdzieć moczem, na klatkach zaatakuje popowodziowa zgnilizna. Szczury przebiegną drogę bez strachu, bo przecież są u siebie.

Niektóre stwory żerują na tej brzydocie. W dzień śliskie macki chwytają dusz przechodniów. W nocy kąsają niewidzialne kły, przyspieszając tętno i popędzając krok. Wszystko to niewinna zabawa. Prawdziwą grozę mógłbym wyczytać ze śladów wewnątrz mieszkań, gdzie demony przez lata zabawiały się emocjami mieszkańców. Są miejsca, które ciągle kryją takich gości. Są ludzie, którzy żyją obok jadowitych duchów, nieświadomi ich obecności, lecz zależni od ich trucizn.

Tego jednak z ulicy nie widać, tak samo nie widać niczego w oczach tubylców — może poza pewnym zubożeniem.

Szpital pasował do otoczenia. Kompleks dziewiętnastowiecznych budynków,

w których się mieścił, nosił ślady czasu: zacieki, plamy i pęknięcia. Tynki były szare. Wnętrza sterylne. Światła zbyt jasne i zbyt zimne. Korytarze albo za wąskie, albo zbyt puste jak na swoją szerokość; kafelki na ścianach brzydkie, podłogi schodzone. Wzorcowy magnes na duchy żywiące się smutkami. Ich szare ogony wystawały z zakamarków, z wnęk w ścianach. Gdy przechodziłem obok, wyglądały stamtąd małpie łby, zawsze wykrzywione w rozpaczliwym grymasie. Mierzyły mnie z góry do dołu, po czym odwracały z pogardą wzrok — jakbym oferował coś, czym się szczerze brzydzą.

Minąłem czyściec recepcji, gdzie długie kolejki męczenników cierpiały w imię limitów NFZ. Złapałem windę i pozwoliłem się zawieźć na piętro neurologii. Tuż przed wejściem na oddział trafiłem kolonię szporyków. Ośmionogie stwory leżały na suficie, jakby grawitacja działała dla nich na odwrót. Zielonkawe futro budziło nieprzyjemne skojarzenia — z grubą warstwą pleśni, z chorobą i rozkładem. Gdy podszedłem bliżej, duchy wyciągnęły ku mnie blade trąboczki. Chciały sprawdzić, czy martwię się wystarczająco mocno — o cokolwiek, najlepiej o własne zdrowie lub o życie bliskich. Gdybym przeszedł test, strzyknęłyby jadem, potęgując mój niepokój i zsyłając najgorsze wizje. Dla nich to tylko obiad.

Zacisnąłem zęby i pokonałem przedsionek. Niektóre czułki cofały się wolniej niż inne, żaden potwór nie spróbował jednak swych sił. Po co, skoro niedługo przyjdzie ktoś smaczniejszy.

Tuż za drzwiami oddziału złapała mnie siwowłosa pielęgniarka.

— A pan tu co robi? — Pytanie jak strzał z karabinu.

Fryzura gładko zaczesana, długi i prosty nos, twarz szczupła, symetryczna; surowa mina. Cesarzowa sali chorych.

— Chciałbym zobaczyć się z Adamem Ksztyną. To mój brat.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

— Rzeczywiście, widać rodzinne podobieństwo — stwierdziła.

Ani trochę. Widziałem Adama, widziałem też siebie w lustrze przed wyjściem. Dwie różne paszcze. Oczy u starszej pani już nie te, co kiedyś — najwyraźniej. Ale tego jej nie powiedziałem. Uśmiechnąłem się grzecznie.

— Gdzie leży, jeśli można spytać?

— Szóstka. Na końcu po prawej — wskazała w głąb długiego, białego korytarza zakończonego drewnianymi drzwiami. — Niedługo kończą się odwiedziny, a do dziewiętnastej już na pewno musimy wszystkich wygonić.

— W jakim stanie jest Adam?

— Wegetatywnym.

— Ale co mu jest?

— To... najlepiej porozmawiać z lekarzem. — Straciła rezon, spojrzała w bok jakoś wstydliwie. — Niech pan się pośpieszy, pacjenci muszą mieć spokój na noc. A jak panu zależy, można przyjść nawet przed południem, po śniadaniu. Tak jak żona pańskiego brata. Do tej pory tu siedzi.

— Żona?

— Tak — odparła. Łypnęła podejrzliwie. — To jakiś problem?

— Nie, skądże. Dziękuję — zapewniłem swobodnie i ruszyłem korytarzem.

Oczywiście, że to problem. Sam rytuał wróżebny za pierwszym razem zajął mi pół godziny. Nawet gdyby dało się go przyspieszyć i tak potrzeba jeszcze spokoju. Czy pani Ksztyna pozwoli smrodzić mężowi kadzidełkiem albo kopcić świecą?

Wszedłem do sali. Dwa łóżka, tylko jedno zajęte. Czarnowłosa kobieta siedziała właśnie tam, przy oknie, patrząc w smętne podwórze szpitala. Odwróciła głowę, dopiero gdy się zbliżyłem.

Nie mogła być wiele starsza od męża, ale tak właśnie wyglądała. Podkrążone oczy, wyraźne zmarszczki, zmęczenie na trwałe wtopione w twarz. Nawet zaciekawienie moją obecnością potrzebowało chwili, żeby przebić się przez tę maskę.

Za to Adam wyglądał różowo i kwitnąco. Gdyby nie kolczasty sztam, spodziewałbym się szybkiego przebudzenia z regeneracyjnej drzemki.

— Dzień dobry. Nazywam się Tomasz Zając.

— Dzień dobry — kobieta odpowiedziała niepewnie.

— Pani Ksztyna? To ja wezwałem karetkę do pani męża. Mógłbym usiąść? — Wskazałem na krzesło przy drugim łóżku.

— Proszę. Oczywiście... — Jej głos brzmiał słabo, jakby dochodził z daleka. — Przepraszam. Kim pan jest?

— Dziennikarzem — rzuciłem, przesuwając mebel. Oczy jej się rozszerzyły, choć trudno było określić, ze zdziwienia czy z obawy. — Ale nie jestem na służbie. Przyszedłem zobaczyć, co z pani mężem. Czy mu lepiej.

— Tak — mruknęła, patrząc na mnie nieobecny wzrokiem. Oj, zapowiadała się przezabawna rozmowa.

— Lekarze wiedzą, co się stało?

Westchnęła. Spuściła głowę. Milczała długo, wreszcie jednak powiedziała:

— Nie obudzi się. — Głos jej się załamał. — Jutro mają być nowe badania, ale uszkodzenia... Doktor nie daje... To wszystko... To wszystko jest niesprawiedliwe.

Drgała jak przy płaczu, ale gdy podniosła na mnie wzrok, w oczach nie było łez — tylko niedowierzanie.

— Co pan tutaj robi?

— Chciałbym pomóc.

— Jak? Tu będzie tylko smutek. Żadna to dla pana historia do gazety.

Tragedie sprzedają się najlepiej — pomyślałem, ale powiedziałem coś innego:

— Nie, nie o to chodzi. Widzi pani, kiedy karetka przyjechała i spisywaliśmy dane pana Adama, nigdzie nie mogliśmy znaleźć kontaktu do bliskich. Nie wiedzieliśmy nawet, że jest żonaty. Więc podałem swój numer jako kontaktowy. Bez sensu właściwie, bo gdyby co, żadnej decyzji nie podejmę, ani nic nie załatwię. Mógłbym co najwyżej przynieść kaptcie, albo szczoteczkę do zębów,

gdyby coś się poprawiło. Ale, no, mogło się nie poprawić. Pomyślałem, że wtedy nikt nie będzie wiedział, co się z nim stało. Pies z kulawą nogą się nie zainteresuje. Gdyby tak wyszło, to bardzo smutne. Dlatego tu jestem.

Przeniosła to odległe spojrzenie na męża.

— Od czterech miesięcy nie mieszkamy razem — stwierdziła spokojnie. — Nie wiem, czy to warto dalej nazywać małżeństwem, ale nie pokłóciliśmy się, nie poobrażaliśmy się. Rozmawialiśmy ze sobą, mogłam do niego dzwonić, on odpisywał na esemesy. Trzy dni temu przestał. W końcu zaczęłam się naprawdę niepokoić. Dzwoniłam raz po razie, wczoraj, ale komórka poza zasięgiem. Obdzwoniłam policję i szpitale. No i znalazłam go — zakończyła kwaśno, po czym dodała z nieskrywanym jadem: — Zadzwońabym nawet do tej kurwy, do której odszedł, gdybym znała jej numer.

Zamilkliśmy oboje. Nie spuszczać oczu, sięgnęła do obrączki na serdecznym placu lewej ręki i zaczęła ją gładzić. Po chwili powiedziała:

— Powinam się cieszyć chociaż z tego, że Adam ma to wszystko już z głowy.

— To wszystko? — dopytałem.

— Życie. Nie rozpieszczało nas. Chyba nikogo nie rozpieszcza, ale z Adamem mamy naprawdę szczególnego pecha. Ot, na przykład, nie możemy mieć dzieci. Wie pan?

Nie odpowiedziałem.

— Próbowaliśmy kilka lat. Wina po obu stronach, u niego słabo i u mnie. Leczyliśmy się, ale co z tego. Nieczęsto się zdarza takie zderzenie porażek, jak my dwoje. Zostaje in vitro, na które nie mamy pieniędzy, albo adopcja. Ale adopcja, cóż... Albo właśnie, pieniądze. Temat rzeka. Mieszkanie kupiliśmy przed kryzysem, bez wkładu własnego. Za duże i za drogie, bo myśleliśmy perspektywicznie, o rodzinie. Teraz jest warte o wiele mniej, niż kredyt. Do tego za Adamem ciągną się długi po działalności, którą kiedyś prowadził i mu splajtowała. On odejdzie, długi zostaną. Wierzycciele nie odpuszczą. A z nas dwojga to Adam zarabiał przyzwoite pieniądze.

— Bardzo mi przykro.

— Mnie również — mruknęła. Spojrzała za okno. — Nie wiem, kto był bardziej przeklęty, ja czy on, ale w pewnej chwili oboje chyba zrozumieliśmy, że to nie ma sensu, tylko ściągamy na siebie nieszczęścia. Jedyne wyjście to skończyć tę farsę, uwolnić się od siebie. W tym miał najwyraźniej większe szczęście. Najpierw uciekł do kochanki, a potem, proszę bardzo.

„Miał większe szczęście” — ciarki przebiegły mi po plecach.

— Pani jeszcze żyje — powiedziałem.

— Co takiego?

— Proszę odpocząć. Przed panią mnóstwo ważnych decyzji, ale nie przejdzie pani tego bez odpoczynku. Proszę iść do domu, wyspać się. Pozwolić sobie na łzy. Później będzie lepiej. — Mówiąc to czułem się jak sprzedawca magicznych balsamów. Żadne słowa nie mogły jej zbawić.

Uśmiechnęła się blado, bezradnie.

— Ale Adam może się obudzić — zaprzeczyła sama sobie.

— Dzisiaj ja przy nim zostanę. Pani musi odpocząć.

Poprowadziłem ją aż do windy, odpędzając po drodze co odważniejsze duchy z sufitu. Tyle potrafiłem. Gdy drzwi kabiny się zamknęły, wróciłem na salę. Stałem nad łóżkiem Adama i rozłożyłem rekwizyty. Do dziewiętnastej zostało równo pół godziny. Na styk.

Oddział był spokojny; jeśli ktoś kręcił się po korytarzu, to pielęgniarki. Tyle że właśnie one mogły mi najbardziej przeszkodzić. Zamknąłem więc drzwi od sali i zastawiłem je krzesłem. Z notatnika wyrwałem stronę. Starannie wyrysowałem na niej jeden z tajemnych symboli, które dziadek wykorzystywał do czynienia magii. Dokładniej — był to „znak szesnasty”, zwany również:

— Hakasz-amadar.

Słów nie wystarczy wypowiedzieć, trzeba jeszcze chcieć, aby się spełniły. Zaklęcia to tylko formy, naczynia czekające na wypełnienie; język potężniejszy od tego, którego używamy na co dzień, ale sam z siebie pusty. Moc sprawcza pojawia się wraz ze znaczeniem, a znaczenie wynika z woli czarnoksiężnika. To jak rozmowa z samym sobą — nie da się skłamać. Czar zadziała dopiero wtedy, gdy pragniesz tego mocno i szczerze.

Na szczęście chciałem, aby nikt mi nie przeszkadzał, a szesnasty symbol nie wymaga wiele. Okoliczne duchy powinny zrozumieć moje intencje i odciągnąć ludzi od tego końca korytarza.

Tymczasem minęło prawie dziesięć minut.

Do roboty: rozwinąłem karteczkę ze szczegółami rytuału, zapaliłem świecę i kadzidełko, chwyciłem rekwizyty. Mruczałem mantry, intonowałem inwokacje — byle nie za głośno. Próbowałem wprowadzić się w ten sam stan, który wcześniej, w domu, skłonił magię do działania. Nic z tego. Pieczęć Marduka pozostawała martwa. W końcu pojawił się strach, że nie zdążę, i to zupełnie zabiło szansę na sukces.

Musiałem spróbować inaczej.

— Dażgadar — wezwałem, szkicując trzy symbole wzmacniające. — Katszkadog nas Jurgeszamibal.

Co w gruncie rzeczy znaczyło: otwieram wszystkie bramy, niech moje słowa będą słyszane. Opuszki palców zaczęły mrowić; znak, że magia była bliżej, na wyciągnięcie ręki. Trzeba tylko właściwie chwycić.

Zacząłem rytuał od nowa — i tym razem ruszyło od razu. Dym zawisł czarną chmurą nad sztafem, oznaczając jedyne węzeł energii. Umieściłem tam poczerniały spodek, w którym duchowa obroza wyglądała jak misterny wzór usypany z diamentowego pyłu. Drobinę poruszały się po wyznaczonych trasach w tempie leniwej rzeki. Miejscami wpadały we fraktalne wiry — im bardziej dynamiczne, tym mniej stabilne. Kręciły się, a potem rozchodziły gromadami na różne strony.

Miałem nadzieję na coś prostszego; coś, co mógłbym zrozumieć,

a przynajmniej przekopiować ołówkiem na papier.

Nagle ruch przyspieszył. Wzburzone iskry zaczęły uciekać na boki, tryskać małymi fontannami. Odsunąłem pieczęć, rozproszyłem dłonią dym świecy. Obroza wiła się jak żywa. Ciernie szarpały skórę, zamiast ran pozostawiając czarne ślady.

To nie moja sprawka!

Zanim znalazłem wyjaśnienie, Adam otworzył oczy. Nie, za mało powiedziane — wytrzeszczył je. Ciągłe nieobecne, tylko na wpół świadome, świeciły zwierzęcym przerażeniem. Jego dłoń strzeliła w górę, schwyciła moją, zacisnęła się mocno. Z ust dobiegło rżenie. Moment później zaczęły się drgawki.

— Nie, nie, nie — usłyszałem swój głos. Coś poszło straszliwie nie tak. — Nuszarganawal! — rzuciłem, pragnąc przerwać te czary. Nie zadziało. Wolną ręką zakreśliłem w powietrzu piąty symbol z dziadkowych notatek. — Koniec! Skończ się!

Wyszarpałem rękę z uścisku. Zgasilem świecę palcami, kadzidełko klepnałem otwartą dłonią. Adam wierzgał mimo to. Sztamp zacieśniał się coraz bardziej, pozbawiając go tchu.

— Siostro! — krzyknąłem z całych sił. Rzuciłem się do drzwi, odepchnąłem krzesło, wypadłem na korytarz. — Siostro!

Zareagowała cesarzowa — zdecydowanym krokiem ruszyła od biurka ustawionego niedaleko wejścia na oddział.

— Tu nie można palić. — Pociągnęła nosem.

— Szybko! — Tyle zdołałem wykrztusić.

Rzuciła okiem do sali.

— Marzenka! Do mnie! Kaśka, bierz doktora z dyżurki!

Odsunięto mnie na bok. Zaroiło się od kitli białych i niebieskich.

— Trzymaj go!

— To nie ciało obce.

— Cholera, co tu się dzieje?!

— Diazepam?

— Tracheotomia.

— Uciskaj, uciskaj.

— Skalpel.

— Cholera.

— Doktorze, to na nic.

Z korytarza dostrzegałem głównie ich plecy, skupione twarze i ruchliwe ręce. Widziałem, jak się uwijają, i widziałem, jak nagle tracą zapach.

Wreszcie mignęła mi twarz Adama — czerwonosina, nabrzmiała, z gasnącym spojrzeniem. Sztamp na jego szyi bladł tym bardziej, im mniej życia pozostało mężczyźnie.

— Zgon nastąpił o osiemnastej pięćdziesiąt. Absurdalna śmierć — dobiegło, gdy pokonałem korytarz w połowie. Do windy wpadłem z rozpędu; zanim ktoś

sobie o mnie przypomni.

Wszyscy będziemy służyć

Co to w ogóle było?

Dziadek nie wspominał, żeby nie łączyć rytuału wróżebnego z symbolami wzmacniającymi. Może zapomniał dodać? Zresztą, otwieranie bram jest ryzykowne samo z siebie; duchy wyczuwają wir energii, który powstaje przy okazji. Niektóre potrafią to wykorzystać. Czy to właśnie się stało? Stwór nękający Adama dostał, co chciał, przez moją niedbałość?

Jedno było pewne: jeśli spartaczyłem, mam cudze życie na sumieniu.

Biłem się z tą myślą, łażąc bez celu po Starym Mieście. W końcu przekonałem sam siebie, że wiem za mało. Ot, weźmy fakt, że sztamp istniał samoistnie. Podobnie skomplikowane konstrukty wymagają olbrzymich energii. Albo obroża działała jak na baterii, powoli niszcząc i gasnąc. Albo — na bieżąco czerpała z otoczenia, najpewniej z ofiary. Jeśli tak, ani rytuałem, ani otwarciem bram nie zmieniłem warunków; nie zrobiłem niczego, aby zabójstwo nagle stało się możliwe. Było możliwe cały czas. Sztamp w każdym momencie mógł zadziałać, jak zadziałał. Jego reakcja została zaprogramowana.

Nie popełniłem błędu w sztukach magicznych — być może. Tylko co z tego. Gdybym nie przyszedł badać obroży, pewnie nie byłoby powodu, aby uległa samozniszczeniu. Porażka, którą zawdzięczam naiwności, to dalej ta sama porażka.

Zrobiło się ciemno i zimno, więc ruszyłem do domu. Gdy mogę, wolę chodzić bocznymi ulicami, przez parki i osiedla. Jest spokojniej. Nie słychać zgiełku, ruchu, trąbienia. Nawet duchy są mniej rozbawione — wylegają się leniwie na konarach drzew, albo chowają po balkonach.

Szedłem akurat wyludnionym chodnikiem między niskimi blokami, kiedy przede mną, z prowadzącej na podwórko bramy, wyłoniły się dwie kobiety: starsza około czterdziestki i młodsza, nastolatka. Rozmawiały cicho. Usłyszałem o czym, dopiero gdy mnie mijaly.

— Ojciec wyprowadzi się już na stałe. Jutro wróci zabrać swoje rzeczy. Podpiszemy papiery i złożymy je w sądzie. Nie będzie przychodzić, tak jak wtedy. Za trzy miesiące sprawa się skończy i będzie po wszystkim.

Starsza mówiła spokojnie, a przynajmniej starała się zachować spokój. Głos drżał ledwo wyczuwalnie, zdradzając, że kobieta chce uwierzyć w swój plan, ale nie do końca potrafi. Jej towarzyszka milczała; słuchała w skupieniu. W ruchach obu było coś, co sugerowało ulgę — jakby zrzuciły wielki ciężar i po raz pierwszy od dawna mogły się swobodnie wyprostować.

Minęliśmy się, pozornie nie zwracając na siebie uwagi.

Przeszedłem kilkanaście kroków, dotarłem przed bramę, z której wyszły — i poczułem swąd spalenizny. Ciemność w przejściu zafalowała. Oddzielił się od

niej cień: długonogi humanoid z rękami sięgającymi ziemi. Trudno było na niego patrzeć. Sylwetka traciła ostrość i zaraz ją odzyskiwała, dwoiła się i troiła. Jedynie twarz pozostawała bez zmian — kula gęstego mroku, czarniejsza niż wszystko dookoła.

Potwór ruszył bezszelestnie za matką i córką.

Zrobiłem krok w bok, zagrządzając mu drogę.

— Stój. — Wyciągnąłem rękę, na której nosiłem srebrną obręcz. Talizman miał mnie chronić, ale równie dobrze mógł służyć za broń.

Demon skulił się. Syknął. Nie był na to gotów — nie spodziewał się, że człowiek może go dostrzec. Skoczył do ataku, ale moja wola, wyrażona w skierowanych przeciw niemu amuletach, była silniejsza. Cofnąłem się o krok. On padł do tyłu, drgając niczym ranne zwierzę. Prawą dłońią wykreśliłem w powietrzu ósmy symbol mocy, zwany Nederendeget, który odbiera duchom skupienie i łamie ich opór.

— Odejdź stąd — rozkazałem. — Nigdy tu nie wracaj.

Słabsza istota usłuchałaby od razu. Większość duchów nie jest mądrzejsza od zwierząt. Ten tutaj — nie miał zamiaru się ruszać.

— Droga! — usłyszałem gniewne dudnienie. — Uwolnij drogę! Już!

Był butny, zły znak. Gorzej jednak, że umiał mówić. Każdy duch rozumie ludzkie intencje, ale tylko stare i cwane potrafią nauczyć się języka.

— Jeżeli cię puszcze, pójdziesz za tą kobietą i jej córką.

— Moje! — zagrzmiął. — Moje! Nie dam!

Znów na mnie skoczył; czarne szpony niemal sięgnęły twarzy. Magia była jednak silna, więc stwór padł tak, jak poprzednio, na grzbiet. Nie miał szans — i chyba zaczynało to do niego docierać.

— Dlaczego?! — wył.

Dlatego, że jeden trup dziennie to granica mojej cierpliwości.

— Jeżeli za nimi pójdziesz, sprowadzisz im cierpienie — powiedziałem. — Nie pozwolę ci.

Podniósł się z ziemi i zamarł w przysiadzie, gotowy do kolejnego ataku.

— Rozumiem. — Jego głos śliski jak węgorz. — Chcesz trochę. Kawałek ciała. Młodej? Młoda smaczna. Świeża. Znam jej sny. Może na ciebie czekać. Tylko na ciebie. Gorąca. Wilgotna. Otwarta.

— Odejdź stąd.

— Stara więc?

— Jak ty gównu wiesz o ludziach.

Chciałem coś dodać, ale wykorzystał moją nieuwagę — i skoczył. Ze szponami do gardła. Zapory puściły, na moment. Wystarczyło, żebym poczuł: piekący mróz na szyi, spalony olej w nosie i gardle, swędzenie głęboko pod czaszką. Ciemność przed oczami.

— Won do budy! — krzyknąłem, rozgarniając mrok dłońmi uzbrojonymi w amulety. — Won, gnojku, do dziury, z której wypełzłeś!

Demon odpadł ode mnie.

— Nederendeget! Dągasz! — Kreśląc stosowne symbole, skierowałem ku niemu swoją moc. — Cierp!

Wierzgał, zgniatany w imadle magii. Piszczął przeraźliwie — aż zamilkł. Znieruchomiał, rozłożony plackiem na chodniku. Wtedy go puściłem.

Nie umarł; duchy nie umierają tak łatwo. Był jednak bezsilny. Najlepszy moment na schwytanie go do słoika po dziadku, gdybym tylko miał odpowiedni przy sobie.

— Jeść — zaskomlał. — Jeść. Muszę jeść. Jak ty. Muszę jeść!

— Znajdź sobie kogoś innego.

— Moje są. Szykowałem je. Długo. Teraz ich łyzy smaczne. Ich pot słodki. Teraz moje żniwa!

— Odejdź stąd, zostaw je w spokoju, nigdy nie wracaj.

Stwór poderwał się z ziemi. Przysiadł do skoku i przez chwilę myślałem, że znów mnie zaatakuję. Nie miał jednak odwagi. Uderzył pięścią w ziemię, później znów, aż zaczął bić grunt i pobliskie ściany w bezsilnej furii.

Jego ciosy pozostawiały plamy bulgoczącej czerni, która parowała i znikła kilka sekund później.

— Nie znajdę jedzenia — wycharczał wreszcie. — Są inni. Inni, co jedzą to samo. Mocni teraz. Pod jednym królem rosną. Dołącz do nas, dołącz, mówią. Ale myślą — służ. Służ! Ja nie sługa. Służyć nie będę. Sam się wyżywię. A teraz ty bronisz. Teraz jeść nie ma jak. Jaki wybór, muszę służyć. Muszę iść za nimi. Tego chcesz? Jesteś z nimi? Głupi ja. Głupi! Jesteś z nimi!

— O czym ty mówisz?

— Zasłony. Tajemnice. Nowy król, nowe sieci, nowe cienie. Wszyscy będziemy służyć. Głupi ja. Głupi ty! Przepuść mnie, a spełnię życzenie. Twoje życzenie. Czego chcesz? Jedno życzenie. Czego chcesz?!

Zamilkł, w napięciu oczekując reakcji.

Stare i rozumne duchy są słowne — o wiele bardziej niż ludzie. Nawet te podłe, zrodzone z bólu lub nienawiści, dotrzymują obietnic. Jeśli są coś winne, dług zawsze spłacają. Oferta była więcej niż kusząca.

— Nie pozwolę ci wrócić do tych kobiet.

Syknął nienawistnie.

— Ale... możesz się pożywić na mnie — dodałem.

Stwór milczał dłuższą chwilę. Otchłań w miejscu twarzy ziała wprost ku mnie.

— Nie jesteś aż tak niesmaczny. Nie tak bardzo. Mniej, niż myślałem — usłyszałem wreszcie. Demon schylił się po jeden z kamyków na ziemi. Miętolił go chwilę, po czym rzucił mi pod nogi. — Umowa więc. Stara skała twoja. Trzymaj ją i krzycz „Belszagaj”. Pamiętaj: Belszagaj. Przybędę wtedy. Raz jeden. Przybędę i spełnię twoją wolę. W zamian: jesteś dzisiaj moim jadłem.

Podniosłem kamyczek. Stara skała, zaiste — zwykły otoczek. Był jednak dziwnie ciężki i lodowato zimny, więc esencja ducha mogła w nim tkwić.

— Zgoda.

Ledwo to powiedziałem, światła latarni przygasły, a noc stała się głębsza. Po plecach przeszły ciarki. Nie potrafiłem cofnąć dłoni, gdy wbiły się w nią pazury ducha. Nie umiałem ruszyć resztą ciała, ani otworzyć ust do krzyku.

Przypomniałem sobie za to twarz Adama, siną i gasnącą. Belszagaj uczeplił się tego obrazu — po czym chwycił i szarpnął. Złączone niczym ogniwa w łańcuchu, przyplły wizje moich występów.

Byłem kiedyś nieznośnym, wkurzonym na świat szczeniakiem. Niedaleko sierocińca mieliśmy sklepik, w którym często urzędowała niedowidząca staruszka. Nie dawała rady za nami nadążyć i nie zauważała, kiedy znikwały jej batony i gumy do żucia. To ja ją okradałem. Bo mogłem — i święcie wierzyłem, że mnie też okradziono.

Wiele, wiele lat później miałem psa, wspaniałą i mądrą sukę imieniem Saba. Jedyna dziewczyna, która wytrzymała ze mną dziesięć lat. Zestarzała się przez ten czas, no i wreszcie zachorowała na tyle poważnie, że mogło być tylko gorzej. Stchórzyłem przed jej cierpieniem. Usypialiśmy ją w klinice, czyli w obcym miejscu, wśród obcych ludzi. Tylko tyle miałem do zaoferowania, po tych wszystkich latach — strach, że będę się nią musiał zajmować, patrzeć miesiącami, jak gaśnie, bezradnie czekać.

Jestem słaby i głupi.

Każde kolejne ogniwo utwierdzało mnie w tej ocenie. Cięższe czy lżejsze, zważone naraz, wszystkie ciągnęły do ziemi. Nie mogłem stać prosto. Nie mogłem stać w ogóle. Uklęknąłem przed demonem, zgarbiłem się jak starzec. Ale i tego było za mało. Fali żalu nie szło powstrzymać: z oczu wylała się łzami, z gardła wyszła łkaniem. Nie wiedziałem już, kogo opląkuję — ludzi, psa, siebie? Rozumiałem tylko, że szloch przynosi ulgę. Że tego, co mi ciąży, muszę wyrzucić jak najwięcej.

Duch czekał na ten moment. Nachylił się i lodowatym jęzorem zaczął lizać moją twarz. Każde mlaśnięcie coś zabierało, wysysało życie, drobina po drobinie. Na to też nic nie umiałem poradzić. Przed oczami latały mroczki, w coraz większej liczbie, aż wreszcie ciemność ogarnęła mnie całego.

Ocknąłem się z policzkiem na wilgotnym chodniku. Wokół pusto — ani stwora, ani kobiet, ani kogokolwiek. Został tylko kamyk w dłoni.

Chciałbym powiedzieć, że płacz mnie oczyścił, ale to nieprawda. Do mieszkania ruszyłem wycieńczony, z poczuciem, że straciłem więcej, niż zyskałem.

ASAP REX

W domu wszystko ze mnie wylazło — śmierć Adama Ksztyny, spotkanie z Belszagajem. Zapadłem się w fotel i jałowo miałem miniony dzień w głowie. Byłem zbyt zmęczony, żeby dojść do wartościowych wniosków, a jednocześnie zbyt przejęty, żeby spokojnie zasnąć.

Alkoholu i marysi bałem się tykać. Jeszcze coś wlezie przez okno i znów zauważę za późno.

Pewnie przesiedziałbym tak do rana, gdyby nie telefon przed północą. Na wyświetlaczu napis „Mrs Grażynka”.

— Dobry wieczór, panie Tomku — zaszcebiotała.

— Wieczór — odparłem. Brzmiałem jak na kacu.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — stwierdziła i nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: — Sześć godzin temu wysłałam panu listę zmian w projekcie i nie dostałam odpowiedzi. Panie Tomku kochany, musimy mieć to wszystko w ekstra szybkim terminie, na ASAP. Wszystko już gotowe, tylko na pana czekamy. Da pan to wszystko zrobić asapem na jutro? Panie Tomku? Jest pan tam?

— Jestem. Może pani przypomnieć, co to było?

— Lista jest na mailu! Trzeba głównie powiększyć logo i wstawić ten tekst, o który prosił klient. No i dodać coś ładnego, bo pusto jakoś, za dużo łajtspejsów. Wszystko jest już gotowe na dedlajn, więc czekamy tylko na pana. Tylko to zostało. Da pan radę na ASAP?

— Na ASAP? To znaczy co, teraz mam do tego siadać?

— Co pan taki marudny? Chyba jakiś niewyspany.

— Za chwilę północ.

— Ojej, rzeczywiście — rzuciła bez cienia skruchy. — Jak wyśle pan jutro rano to też będzie dobrze. To naprawdę na już, na wczoraj. Asapem, panie Tomeczku, musimy.

— Asapem.

— Asapem! Dobranoc!

Asap, srasap. Zawsze dostaję od niej „popraweczki” na wczoraj, na za chwilę i na już. Nigdy nie ma czasu, żeby to zrobić na spokojnie.

Cóż, klient nasz pan — zwłaszcza taki, co mimo wszystko płaci przyzwoicie i w terminie. Odpaliłem więc komputer i sprawdziłem maila. Wyceniałem każdą uwagę po kolei. Wreszcie wyszło mi, że pracując w trybie „na odpiardol” skończyłbym zadanie za co najmniej dwanaście godzin.

To właśnie był dobry moment, aby rzucić wszystko i jechać w Bieszczady. Wybrałem opcję minimum — poszedłem spać.

Chociaż nie, kłamię. Ciężko to nazwać normalnym spaniem. Zdrzemnąłem

się na chwilę, obudziłem, wypilem wody, wróciłem do łóżka, znów przekimałem moment, aż wreszcie ze snu wyrwało mnie złe przeczucie. Zapaliłem światło w sypialni, szukając czegokolwiek, co przypomina ducha. Nic nie znalazłem. Pomyślałem, że pójdę może do komputera, poklikam, popracuję. Ale najpierw poleżę jeszcze chwilę.

I dopiero wtedy rzeczywiście dopadł mnie sen.

Spotkałem w nim ducha Asapa. Objawił się na żółtej łące, cały różowy, kulisty i podrygujący nerwowo. Przyleciał skądś, kiedy nie patrzyłem, zawisł na wysokości moich oczu. Przedstawił się właśnie tak: „dzień dobry, jestem duchem Asapa”. Po czym powiedział:

— Wiesz, że masz robotę, prawda?

Nie byłem pewien, o której dokładnie mówi, więc odparłem:

— Czy można cię zabić?

— Przed wyruszeniem w drogę należy zebrać drużynę! — zawołał głosem Fronczewskiego.

— Nie, wolę sam. Zbierz sobie beze mnie.

— To i tak moja drużyna! I tak bym cię nie zaprosił! Moja, moja, moja!

— Zaraz... Czeka, czeka, czeka... Ty zbierasz drużynę...

Obudziłem się z wrażeniem, że epifania jest tuż, a odpowiedź na wszystkie pytania leży na końcu języka. Oczywiście, jak to ze snami bywa, faktycznego brzmienia tej odpowiedzi nie umiałem sobie przypomnieć. Kołatała mi się jednak fraza „duch zbiera drużynę”. Co za duch? Po co?

No i wtedy zaskoczyło. Sztamp — to nie mogło być pierwsze takie dzieło stwora, który nękał Adama. I jeszcze te słowa, gdy demon próbował wypchnąć mnie przez okno: „moje znaczy moje”. Czymkolwiek jest ta istota, kolekcjonuje ludzi. Ofiary mają wartość, ponieważ można ich użyć — i najprawdopodobniej jest to zastosowanie kluczowe dla zamiarów ducha, a może nawet jego istnienia. Co jednak sprawia, że konkretna osoba staje się dla ducha cenna? Bo Adam musiał być szczególny. Inaczej po co się kłopotać, atakować czarnoksiężnika w jego *sanctum sanctorum*, jeśli nie z zemsty za naprawdę wielką stratę.

I jeszcze, co mówił Belszagaj — o nowym królu. Czy to może być ta sama istota? Stwory żywiące się cierpieniem wolą zerować samotnie; niewiele zyskują na współpracy. Nie mają hierarchii innej niż hierarchia siły, przynajmniej jeśli wierzyć dziadkowi. Z drugiej strony, może właśnie o to chodzi, może dlatego król jest „nowy”. Nie korzystał ze swojego wpływu wcześniej, bo nie widział potrzeby — ale teraz widzi i przymusza inne bestie do służby.

W świecie nadprzyrodzonym nie ma prawdziwych przypadków. Bywają zbiegi okoliczności, ale nie zrządzenia losu. Jeśli duch zachowuje się niezrozumiale, to nie dlatego, że ulega sprzecznym instynktom, czy też podejmuje decyzje na chybił trafił. Pod tym względem jest prostszy od człowieka, mniej neurotyczny, o wiele bardziej racjonalny — choć nie zawsze jest to racjonalność, z którą łatwo się pogodzić.

Niewiadomych było wiele. Na przykład, dlaczego Ksztyna był w tak

dziwnym stanie, gdy go spotkałem? Dlaczego duchy rozpaczy przyłgnęły do niego z takim zapałem? Jeśli jedno i drugie to sprawka autora sztampu — dlaczego niszczył swoją własność?

Odkrycie, z jakiego powodu Adam został wybrany, wydało mi się jednak kluczem do zrozumienia *modus operandi* mojego przeciwnika. Żeby to osiągnąć, musiałem najpierw lepiej zrozumieć samego Adama.

I chyba wiedziałem, gdzie zacznę — w miejscu, w którym musiał spędzać najwięcej czasu.

Arbeit macht frei

Ze strony internetowej BestSoft dowiedziałem się, że ich sztandarowym produktem jest Dura Lex. „Wielofunkcyjny system uniwersalnie i elastycznie wspierający pracę prawników, doradców prawnych i komorników”. Dostępny w modelu SaaS, regularnie aktualizowany w oparciu o nowe akty prawne, uzupełniony modułami CRM, ERM, HRM, nie wspominając o kilku innych zbitkach literek. Międzynarodowe standardy, sto tysięcy zarejestrowanych użytkowników, lider branży, najnowocześniejsza technologia. Wszystko w planach abonamentowych dopasowanych do potrzeb klienta (nie podano cen) oraz z możliwością wykupienia dodatkowych usług.

Nieliczne konkrety tonęły w morzu samozachwytu. Wyczytałem jednak, że we Wrocławiu BestSoft ma główne biuro sprzedaży. To tam musiał pracować Ksztyna. Adres wskazywał wielki biurowiec na Placu Grunwaldzkim, moloch ze szkła i betonu.

Nazwa budynku — Grunwaldzki Center — idealnie wyrażała związaną z nim niezręczność. Wciśnięto go na siłę między ponemieckie kamienice i siedziby czterech pobliskich uczelni. Nie pasował. Przyciągał uwagę jak parweniusz na arystokratycznym raucie. To, co można uznać za jego zaletę — minimalizm i surowość formy — zostało zepsute zamontowanym na czubku telebimem, na którym niestrudzenie puszczano reklamy. Jaskrawe, migające, nieznośne; prosto w okna mieszkań pechowo zwróconych do molocha. Nawet studenci, najlicniejsza populacja Grunwaldu, nie mieli z konstrukcji wielkiego pożytku. Wyjąwszy kilka kawiarenek i sklepik, kilkaset metrów parteru zajmowały okazałe pomieszczenia banków, w których znudzona obsługa bezskutecznie wyczekiwała klienta. To nie było miejsce dla ludzi, bez wątpienia. To było miejsce dla biznesu. Koncerny informatyczne, prężnie rosnące media, znane firmy doradcze, globalne korporacje i lokalni magnaci — wszyscy zabiegali o kawałek podłogi. Dawali wiarę hasłu „prestżowej lokalizacji”, jednocześnie je uwiarygadniając.

Grunwaldzki Center to symbol polskiej modernizacji.

Wszedłem przez niewielkie lobby, gdzie zatrzymał mnie portier, pytając tonem znanym każdemu cieciowi:

- Pan do kogo?
- BestSoft. Piąte piętro, prawda?
- Tak. Już pana puszczam.

Wyszedł z za biurka i poprowadził mnie do windy. Czekaliśmy w milczeniu dłuższą chwilę, którą spędziłem na kontemplowaniu typowo korporacyjnego wystroju — eleganckich materiałów zaaranżowanych w kompozycję sterylną i nijaką.

Gdy patrzyłem w drugą stronę, portier przemówił:

— Ta robota pruje mi mózg.

Zerknąłem na niego, ale stał niewzruszony, z zaciśniętymi ustami. Nie patrzył nawet ku mnie. Odwrócił twarz dopiero w odpowiedzi na moje spojrzenie.

— Pan coś mówił? — spytałem.

— Nie — odparł zdziwiony, po czym bez ruszania ustami dodał: — Cholera, kolejny dziwak.

Rozejrzałem się. I owszem — zauważyłem ducha. Nieopodal, między ścianą a doniczkową paprocią, krył się mały, szary humanoid. Jego zasuszone główka nie posiadała ust, w miejscu których łyptało trzecie oko. Wyżej, gdzie normalnie byłby nos, wyrastała para czułek. Mimo ludzkiej postury, nie dałoby się go wziąć za człowieka.

Winda przyjechała. Wysiadł z niej brodaty trzydziestolatek w niebieskim, dobrze skrojonym garniturze. Bez dalszych ceregieli zająłem jego miejsce w kabinie i poczekałem, aż portier wciśnie piąte piętro. Kiedy odszedł, zamiast pozwolić drzwicom się zatrzasnąć, zatrzymałem je nogą.

Wyciągnąłem z torby specjalne ciasteczka — paskudztwa upieczone zgodnie z dziadkowym przepisem — i zachęcająco cmoknąłem do ducha.

Stwór ostrożnie wychylił się z kryjówki, rozejrzał uważnie na boki, po czym ruszył sprintem do windy. Tak jakby ktoś poza mną mógł go zobaczyć.

— Dostaniesz ciastko, kiedy będę wychodzić. Do tego momentu trzymaj się blisko — powiedziałem.

Nie zareagował w żaden sposób. Po prostu wlepił we mnie czarne ślepia, wywijając niespokojnie czułkami.

Sięgał mi do pasa, choć mógłby pewnie wyżej, gdyby się tak mocno nie garbił. Chude ciało pokrywała pomarszczona skóra w różnych odcieniach szarości. Dłonie miał trójpalczaste, natomiast stopy zupełnie pozbawione palców, za to płaskie i szerokie. Tors wąski, wklęsły, a krocze — bez genitaliów. Krótko mówiąc, wyglądał jak mumia kosmity.

Pierwszy raz widziałem coś takiego. Po tym, co zademonstrował na portierze, domyślałem się jednak, że mam do czynienia ze spowiednikiem, duchem sekretów. Dziadek pisał o nich w superlatywach — jak to często pomagały mu ująć reakjonistów, albo przewidzieć knowania towarzyszy komunistów jeszcze zanim na dobre obmyślili swoje plany. Obecność takiego ducha w biurze pełnym handlowców mogła mi tylko pomóc.

Gdy winda się zatrzymała, wyszedłem do krótkiego przedsionka, zakończonego drzwiami z mocnego szkła. Obok nich znalazłem interkom z klawiaturą numeryczną. „Głośnik nie działa. 2 — dzwonek”, obwieszczała karteczka zawieszona powyżej, więc wcisnąłem właśnie dwójkę. Nie usłyszałem dzwonka, ale chwilę później rozległ się dźwięk zwalnianego zamka. Otworzyłem drzwi i wparowałem do kolejnego przedpokoju. Spowiednik tuż za mną.

Powitała nas recepcjonistka, młoda szatynka w szarej garsonce. Ładna, gustownie umalowana, zaprasowana, dopięta — a jednak jakoś nie na miejscu.

Wyraźnie grała rolę, w której nie czuje się wygodnie.

Złote logo BestSoftu puszyło się nad jej biurkiem — ustawionym tak, aby mieć dobry widok na drzwi wejściowe oraz szklaną ścianę z panoramą na Plac Grunwaldzki. Po lewej zauważyłem korytarz prowadzący głębiej do biura. Po prawej niepozorne drzwi z napisem „Schowek”.

— Dzień dobry. Czym możemy służyć? — spytała, posyłając mi nerwowy uśmiech.

— Dzień dobry. Tomasz Zając, byłem umówiony z Adamem Ksztyną.

Zrobiła smutną minę.

— Niestety, pan Ksztyna jest na urlopie zdrowotnym.

Dokładniej — nie żyje. Wieści mogły jeszcze do firmy nie dotrzeć, choć możliwe też, że nie chcieli wystraszyć potencjalnego klienta.

— Od kiedy?

— Od dwóch tygodni.

Ciekawe, jak długo Adam chodził ze swoim sztampem? Chyba nie całe lata; to z pewnością odbiłoby się na jego zdrowiu. Cóż, jeśli mniej niż dwa tygodnie, nie założono mu obroży w tym miejscu.

Tak czy siak, przyszedłem się rozejrzeć, a przy odrobinie szczęścia — poszperać w jego rzeczach. Warto więc było potwierdzić, że faktycznie nie wiedzą o jego śmierci, czyli że niczego nie uprzątnęli.

— To znaczy, chciałem zapytać: do kiedy. Do kiedy jest na zwolnieniu?

— Nie jestem pewna. — Chciała coś dodać, ale w słowo wpadł jej stłumiony krzyk z głębi biura. Mocny, dudniący, ale niewyraźny; brzmiał jak ryk wściekłego goryla. Stropiła się na moment, po czym znów otworzyła usta i znów przerwał jej ten sam wrzask. Tym razem rozpoznałem słowa „straty” i „twoja wina”.

— Czy on to słyszał? — nie ruszając ustami przemówiła sekretarka. — Słyszał. Oczywiście, że słyszał, skoro ja słyszałam. Co za wstyd. Jak mu to teraz wytłumaczyć? Szef choleryk na wszystkich drze mordę, a ja tu siedzę i muszę się szczerzyć.

— Zresztą, nieważne — przerwałem galopadę jej myśli. — Nie muszę rozmawiać z panem Adamem. Mieliśmy dopracować tylko parę detali do umowy, a jestem we Wrocławiu przejazdem i w najbliższym czasie nie będę mieć okazji, żeby tu wpaść. Jeżeli ktoś pana Adama zastępuje, mnie to odpowiada.

— Tak, oczywiście — powiedziała z kiepsko ukrytą ulgą. — Proszę poczekać, zaraz kogoś znajdę. — Wskazała czarną sofę i trzy krzesła przy ścianie. Meble wyglądały jak ukradzione z wystawy sztuki nowoczesnej: zbyt wiele chromowanej stali, za mało ergonomii.

Usiadłem jednak, a ona wstała — i ruszyła bocznym korytarzem. Sofę ustawiono na tyle dogodnie, że mogłem się wychylić i w ten sposób zerknąć za nią, w głąb biura. Na samym końcu przejścia widziałem duże, otwarte pomieszczenie, podzielone na boksy. W nich kulili się ludzie ze słuchawkami na uszach. Prawa ściana korytarza była przeszklona — za nią prawdopodobnie mieściła się sala konferencyjna.

Nim sekretarka pokonała połowę drogi, po prawej otworzyły się szklane drzwi. Wypadł z nich mężczyzna w czarnych spodniach i białej koszuli, rzucił kobiecie umęczone spojrzenie, po czym zniknął między boksami.

— Panie prezesie — powiedziała dziewczyna do oszklonego wnętrza i zaczęła wyjaśniać coś ściszym głosem. Kiedy skończyła, odezwał się ten sam dudniący bas, który słyszałem wcześniej:

— Gdzie jest Nowicki? Niech się zajmie!

— Na lanczu. — Uniżony ton.

— O tej porze?!

Rozłożyła ręce. Usłyszałem głośnie westchnienie i chwilę później na korytarz wyszedł okrągły wąsacz pod sześćdziesiątkę. Nosił się kosztownie — dobry garnitur, złoty zegarek, nawet sygnet na palcu — ale bez polotu. Spodnie zwisały mu na biodrach, nieestetycznie eksponując owal brzucha. Nie pomagał też brak krawata i koszula rozpięta pod szyją — co można by wziąć za oznakę luzu, gdyby nie podwójny podbródek. Biła od niego swoboda; nie, więcej, jaśniepańska nonszalancja. Taka, na jaką stać człowieka, który do pozycji i przywilejów doszedł dzięki twardym łokciom.

Pan prezes ruszył w moją stronę.

W ślad za nim z sali konferencyjnej wyłonił się demon pychy.

Czarne łańcuchy łączyły plecy człowieka z przedziwną istotą, złożoną z niepsujących części: herbowych pieczęci, kawałków antycznych pancerzy, strzępów haftowanych proporców. Śmietnik muzealnych odrzutów, zlepiony w postać z grubsza ludzką — z dwiema nogami, parą rąk, pękatym korpusem i łbem skrytym pod przyłbicą rycerskiego hełmu. Duch wyglądał groteskowo, ale sama jego obecność sprawiała, że nogi uginały się do kłeczek, a kark skłaniał do ukłonów. Musiałem wysilić wolę, aby nie przybrać postawy lichej i usłużnej.

Nieświadom własnej więzi z demonem, prezes przywitał mnie ze świetnie wyćwiczonym uśmiechem i zaprosił na rozmowę do osobistego gabinetu. W myślach zaś dodał:

— Na żadnym z tych głąbów nie można polegać. Co oni tu robią? Klient przychodzi na umówione spotkanie, a tu jeden na lanczu, a drugi w domu, pierdzi do łóżeczka. Zero profesjonalizmu. Zero. Wszystkiego ich muszę nauczyć, baranów. Oj, popamiętają to długo.

Więź z potężnym duchem może być z pozoru korzystna. Przede wszystkim, silny pasożyt odstrasza słabszych szkodników. Dzięki temu znikają natrętne myśli — czy zostawiłem włączone żelazko, czy zamknąłem mieszkanie — bo wywołujące je istoty są małe i strachliwe. Rzadziej człowieka boli, rzadziej zmieniają mu się nastroje, nie dręczą nagłe zachcianki. Umysł staje się klarowny, poddany tej jednej obsesji, na której żeruje demon. Można w ten sposób zająć bardzo daleko, zdobyć władzę, sławę i pieniądze, ale wszystko kosztem wolnej woli. Po pewnym czasie stanie się jasne, kto zyskuje na tym związku, a kto jest tylko posiłkiem. Gdy duch wysie z człowieka wszystkie soki, porzuca go — złamanego, wycieńczonego, z życiem poświęconym dla czegoś, co nagle

przestało mieć znaczenie. Czasem wystarczy kilka miesięcy, żeby do tego doszło, a czasem potrzeba kilku dekad. Koniec jednak zawsze będzie ten sam.

— Pracuję z idiotami i wszyscy powinni o tym wiedzieć — nie wypowiadając ani słowa, prezes podsumował swoje rozważania. To było dość dziwne, że i on poddawał się mocom spowiednika. Czyżby demon nie dbał o sekrety? A może drepczący mi po piętach stwór był starszy i potężniejszy, niż na początku sądziłem?

Poszliśmy korytarzem, rozmawiając o umowie, którą miałem podpisać, oraz o firmie, którą reprezentuję. Opowiadałem, co ślina na język przyniosła — że robimy w branży logistycznej, że chcemy obniżyć koszty księgowania, i tak dalej, i tym podobnie. Wszystko zmyśliłem, ale nie było to trudne. Zanim pogodziłem się z tym, że widzę duchy, pracowałem w firmie podobnej do BestSoftu.

Mój rozmówca przytakiwał, choć nie sprawiał wrażenia szczególnie zainteresowanego detalami. W myślach dorzucał tylko komentarze, takie jak „oho, z tej twojej firemki nie wyciśniemy kokosów” albo „no płotka, zwykła płotka”.

Za salą konferencyjną, jak się okazało, były jeszcze drzwi z napisem „kuchnia”. Gdy podeszliśmy, dobiegające stamtąd rozmowy urwały się nagle, w pół słowa. Chwilę później na korytarz wypadła trójka młodych mężczyzn pod krawatami.

— Dzień dobry, panie prezesie — rzucił pierwszy z nich, a wzrokiem dodał: — Doczekasz się, kutasie. Gdy nadejdzie rewolucja, zawiśniesz pierwszy na stryczku.

— Boże, co za bieda. Skąd on wytrzasnął ten garnitur? Z Caritasu? — pomyślał drugi, kpiącym wzrokiem omiatając moje przebranie.

— Już ja wiem, gnojki, w co wy gracie — wyznał bezgłośnie trzeci. — Prosto w twarz pitu-pitu, pijmy razem, kumple jesteście. A za plecami już świnia gotowa do podłożenia. Byle tylko dorwać się do półrocznych premii. Takiego wała.

— Dzień dobry panom — odpowiedział prezes, a echo dopowiedziało: — Beze mnie wszyscy jesteście zerami.

Tyle — młodzi skłonili głowami i cichaczem czmychnęli do swoich boksów. Skorzystałem z okazji, żeby zerknąć za nimi w głąb sali. Niby nic ciekawego: biurko obok biurka. Każde stanowisko odgrodzone od sąsiednich szarą ścianką na tyle wysoką, że trzeba wstać z krzesła, aby spojrzeć ponad nią. Bezduszne pomieszczenie, ożywające tylko dzięki paplaninie sprzedawców, próbujących jak najwięcej wcisnąć osobie na drugim końcu linii.

Wszystkie boksy były zajęte, poza dwoma po prawej stronie, w rogu pokoju. Nad wolnymi krzesłami unosiło się coś dziwnego, co wyraźniej dostrzegałem tylko po zamknięciu oczu, w powidoku. Mrugnąłem kilka razy, żeby mi się te wizje lepiej w głowie ułożyły — i nagle zobaczyłem: kłębowisko ciernistych kłaczy, opadających z sufitu prosto na biurka. Pędy ruszały się powoli, jak ospałe węże, oplatając krzesła, klawiatury, myszki i monitory. Wszystko, czego dotknęły, pokrywało się czarnym osadem, który zaraz odparowywał, dodając

własny ciężar do panującej tu atmosfery.

Prezes patrzył na mnie sceptycznie, gdy mrugałem w kierunku pustych krzeseł. Otworzył usta do komentarza, ale przerwał mu dzwonek telefonu. Wyciągnął komórkę, zerknął na wyświetlacz i powiedział:

— Proszę wybaczyć, muszę odebrać. Niech pan poczeka tutaj — wskazał palcem fotele obok dyspozytora wody. — A tam jest biurko pana Ksztyny — przesunął rękę w kierunku oplątanych cierniami stanowisk. — Zaraz obok siedzi pan Nowicki. W pańskiej sprawie lepiej jednak rozmawiać z nimi, niż ze mną. Jeśli któryś wróci, proszę śmiało go zaczepić — powiedział, po czym dorzucił w myślach: — Mój czas jest zbyt cenny, żeby marnować go na twój groszowy biznesik.

No więc usiadłem w doborowym towarzystwie dystrybutora i stojaka z butlami. Gdy prezes zniknął w gabinecie, czekałem chwilę, aż pracownicy przestaną zwracać na mnie uwagę. Wreszcie wstałem i podszedłem do biurka Adama Ksztyny.

Ciernie wróżyły ból, kłacza wiły się jak macki. Nic przyjemnego. A jednocześnie, ruch kłębowiska działał hipnotycznie, jakbym wpatrywał się w ogień lub fale. Sam nie wiedziałem czemu, ale chciałem zanurzyć się w tej wizji, pozwolić sobie rozorać skórę, pozwolić opleść nogi i ramiona.

Cóż, jeśli miałbym przeszukać biurko Ksztyny, nie dało się tego zrobić bez kontaktu z widmem.

Zacisnąłem zęby. Odsunąłem krzesło. Usiadłem.

Przez chwilę rzeczywiście — jakbym wpadł w maliny. Ukłucia na całym ciele; trudno oddychać, trudno się ruszyć. Ale wrażenie szybko minęło. Został ścisk niepokoju w bebechach.

Do diabła, o czymś zapomniałem. Musiałem coś zrobić i zapomniałem co. Papiery na biurku — tam była odpowiedź. Przejrzałem je, wyęzając pamięć, szukając w niej czegoś, czego najwyraźniej nigdy tam nie było. Ale niepokój nie ustawał; wzmochnął się. Zawaliłem. Zawaliłem coś spektakularnie i teraz wszystko pójdzie w proch. Cała kariera spuszczone w kiblu.

Papiery dotyczyły sprzedaży pakietu usług. Nieznana mi kancelaria miała płacić BestSoftowi setki tysięcy rocznie, żeby korzystać z systemu dostosowanego specjalnie do ich wymagań. Dołączone notatki opowiadały historię nieudanych negocjacji, a przygotowane zawczasu umowy świeciły pustką w miejscu podpisów. Dokumenty sugerowały, że niewiele się dało zrobić — to klient zmienił zdanie. Niepokój podpowiadał jednak, że to moja wina. Nawet jeśli w rzeczywistości niczego nie popsułem, wszyscy i tak mnie obarczą odpowiedzialnością. Niektórzy wręcz czekają na okazję.

Trzeba to odkręcić. A może da się zgnie jajo komuś podrzucić? Tylko komu? Boże, przecież mnie zwolnią. Zwolnią mnie! Jak opłacę ten pieprzony kredyt? To wszystko na włosku wisi. Całe życie — na włosku. Jedno potknięcie i tracę mieszkanie, wszystko się posypie. Cholera, wszystko.

I wtedy przypomniałem sobie, że wcale tu nie pracuję. Kredytu też nie mam.

Myślałem myślami Ksztyny, czułem jego emocje. Ciernie zakonserwowały stan ducha. W jaki sposób, po co — nie wiedziałem. Czytałem tylko o podobnej magii w dziadkowych zapiskach.

Na biurku znalazłem stos żółtych karteczek samoprzylepnych. Oderwałem jedną i narysowałem na niej ósmy symbol mocy — ten, który rozprasza energie, krzyżuje duchom plany, burzy skupienie. Sztuczka nie zawsze działa, ale tym razem poczułem różnicę od razu. Pnącza zbladły. Ciernie przestały kłuć. Widmo stało się przezroczyste, o wiele mniej realne. Po chwili znikło zupełnie. W głowie pojaśniało jak po mocnej kawie, albo po zdrowej drzemce.

— A ty kim niby jesteś?

Obok stanął chudy mężczyzna o ściśniętej twarzy. Zlustrował mnie nieprzychylnym wzrokiem i dodał:

— Nowy, co? Nie powiedzieli ci jeszcze, że tu mamy hierarchię jak w wojsku. Po tej stronie biura siedzą sprzedawcy seniorzy. Twoje biurko jest gdzieś tam. — Wskazał głową w głąb sali, dalej od kuchni, dystrybutora i okien. — Zresztą, to miejsce jest zajęte. Już niedługo, ale jednak.

— Już niedługo?

— Siedzi tu koleś, który spierdolił deal na pół miliona. To nie pierwsza jego wtopa, więc dni ma policzone, niech tylko prezes się wreszcie zorientuje. Teraz spieprzył na chorobowe, cwaniaczek. Ej, ej, Michalski! — krzyknął na młodego człowieka, który podszedł do dystrybutora. Biedak aż się wzdrygnął. — Michalski! Gdzie moje raporty?!

— Tak, tak, robi się.

— Co tak długo?!

— Muszę najpierw skończyć dla Krawczyka...

— Do diabła, Michalski, pierdolisz jak stara dupa. Jesteś tu tylko stażystą. Co, myślisz, że ktoś za taką marną robotę będzie cię chciał tu zostawić? Albo że gdzie indziej będą cię po główce głaskać? W dżungli jesteś, kurwa, a nie na pikniku. Zapiierdalaj robić raporty, bo nie chcesz mnie zobaczyć wkurwionego.

Im dłużej mój rozmówca wylewał jad, tym wyraźniej dostrzegałem czarną obrożę na jego szyi. Adam nosił podobną, tylko wyraźniejszą, szczelniej zaciśniętą, gęstsza od cierni. Tak jak u niego, teraz również czarna struna łączyła szyję człowieka z sufitem — i zapewne sięgała dalej, hen do odległego lalkarza.

Michalski uciekł, nawet nie nalewając wody, po którą przyszedł.

— Jestem Nowicki — powiedział zwycięzca; samiec alfa w stadzie małp na piątym piętrze betonowej dżungli. — A teraz bierz dupę w troki i popierdalaj na swój koniec biura, bo koło mnie na pewno nie siedzisz.

— Spójrz na to — odparłem, pokazując mu karteczkę z ósmym symbolem.

— Co to jest? — Prychnął pogardliwie. Wiadomość nie była jednak dla niego, lecz dla ducha po drugiej stronie sztampu. Struna zadrżała. Obroża zaczęła falować i tracić kształt. Wreszcie zmieniło się też coś w wyrazie twarzy Nowickiego.

— Co ty mi pokazujesz? — warknął, ale jego głos stracił moc, łamał się. —

Kurwa. Tego wszystkiego jest za dużo. Ja pierdołę.

Klapnął ciężko na krzesło. Już nie drapieżny wilk, żaden władca lasu, raczej zwierzyna łowna, której zabrakło tchu.

— Muszę odpocząć — powiedział, po czym zamilkł. Na długo. Gdy uznałem, że nie ma nic do dodania, znów otworzył usta: — Wszystko, czego dotknę, sypie się w proch. Kiedyś myślałem, że świat stoi otworem i że jak czegoś zechcę, to do tego dojdę. No więc chciałem tego, chciałem tamtego. Ale każdy kolejny wybór zmniejszał liczbę opcji, które mi pozostały. Nie da się być w dwóch miejscach naraz, przeżywać dwóch żyć w dwóch różnych domach, w tym samym czasie spać z dwiema kobietami w dwóch różnych łóżkach. Wybierasz jedno, odpuszczasz drugie. Aż nic nie zostaje, żaden nowy wybór, tylko korytarz prosto przed siebie. Po jakimś czasie wiesz już, że na końcu nic nie ma, że możesz tylko iść, aż padniesz martwy.

Niektóre słowa wypowiedział na głos, inne usłyszałem wtedy, gdy trzymał usta zamknięte.

— Kiedy byłem dzieckiem, wszystkiego brakowało. Taki dom był, biedny. Rodzice zapierdalali jak roboty. Wracali do domu i zamieniali się w warzywa. A potem sen i znowu do kieratu. Nie chciałem takiego życia. Chciałem mieć to, co pokazywali w telewizji, wszystkie wygody i błyskotki. No więc drapałem jak zwierzę, żeby się wydobyć na wierzch, żeby mieć to wszystko, czego nie miałem. Żeby było normalnie, po ludzku. Własny dom, samochód, dobry garnitur, używki, gadzety i przyjemności. No i ładna żona, wiadomo. Zdrowe dzieci. Tyle że nie mam tego, nie tak naprawdę. Wszystko jest na kredyt, w ten czy inny sposób. Muszę drapać dalej tak samo, jak na początku, inaczej nie starczy potu na kolejną ratę.

Przełknął ślinę i spojrzał na mnie zrozpaczonym wzrokiem.

— Nie starcza mi już sił — powiedział ciszej, żeby nikt nie podsłuchał. — Nie wiem, co robić. Wszystko się sypie. Wymyka mi się z rąk, jakoś... Wiesz, zdradzam żonę i nie rozumiem czemu. Teraz o tym myślę i wydaje mi się to zupełnie bez sensu. Jest nam dobrze, nie kłócimy się, wszystko gładko, wygodnie. Ale już mi przy niej nie staje. Trzeba się napracować, żeby coś z tego wyszło. A z dziwkami, z jakimiś lachonami wyrwanymi w barze, żadnego problemu. Albo ten koleś. Jest taki koleś, który zawsze zajmuje moje miejsce parkingowe. Zawsze, choćby nie wiem co, idiota. Tłumaczyłem mu, ale jak grochem o ścianę. No i dzisiaj rano się na niego natknąłem jak wychodził z auta, oczywiście zaparkowanego ma moim miejscu. Powiedziałem swoje, on zaczął pyskować. No i... Nie wiem, jak to nazwać. Biłeś się kiedyś? Jest taki moment, że ci się mózg przełącza. Nieważne od czego się zaczęło, czy atakujesz, czy się bronisz, w pewnej chwili zamieniasz się w oprawcę. Bijesz do oporu, nie patrzysz na nic, liczy się tylko, żeby zrobić miazgę z tego drugiego. I to jest cholernie przyjemne, wiesz? Cholernie przyjemne, dopóki trwa. No ale w końcu wraca normalna świadomość, wszystko znów staje się... skomplikowane. Znów rozumiesz, że zabijanie to zło, że ten koleś pewnie ma rodzinę, komuś jest

potrzebny. Może jego życie jest więcej warte niż twoje... Tak właśnie, tak... — Nowicki spojrział na własne kłykcie, gdzie zadarta skóra pokryła się rojem małych strupów. — Tak właśnie pomyślałem po wszystkim, jak już mi przeszło. A potem zapragnąłem tak nie myśleć. Chciałbym cały czas być w tym momencie, kiedy rozwalam mu pysk. Do tej pory za tym tęsknię. Rozumiesz mnie? Bo ja nie rozumiem. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Dlaczego ci o tym wszystkim opowiadam?

Zanim do głowy przyszła mi dobra odpowiedź, obroża na szyi Nowickiego zacisnęła się gwałtownie. Jego twarz zszarzała, usta zamieniły się w zawziętą kreskę. Duch zawiadujący sztamperem był potężny; szybko wychodził spod moich zaklęć.

— Nie możesz mi pomóc. Nikt nie może — stwierdził mężczyzna. — Wszyscy chcą zeżreć kawałek mojego tortu. Wszyscy oni, młode wilczki i starzy wyjadacze. Prezes, o tak... Prezes to największa kanalia z tego grona. Obiecał mi podwyżkę, gnojek, a później wykręcił się z niej rakiem. Nie jestem zadowolony z twoich wyników, mówił. Po tobie spodziewałem się więcej. Musisz się bardziej postarać, bo nie działasz na pełnych obrotach. Tutaj jest miejsce tylko dla tych, co gotowi są oddać wszystko. A gównem jest prawda! Nikt nie zrobił dla tej firmy więcej, niż ja. Więc co?... Więc co? Sam odbiorę, co moje. Nie będą mną pomiatać.

Drżał z ledwo wstrzymywanych emocji, razem z nim drżał sztamper. Ciernie sunęły po skórze w gwałtownych spazmach.

— Słuchaj, to nie jest dobry pomysł — powiedziałem. — Spójrz tutaj — znów podsunąłem mu karteczkę ze znakiem.

— Zostaw! — Odtrącił moją rękę, aż zabolalo. Wycedził: — Masz mnie za debila, prawda? Myślisz, że nie dam rady?

Poderwał się i ruszył zdecydowanym krokiem do prezesowskiego gabinetu.

— Nederendeget! — zawołałem za nim. Czar mógł jeszcze zadziałać. Wręcz czułem, jak wola wtłacza się w magiczną formułę, zaklęcie chwyta; dobra czarnoksiężska robota.

Nowicki zupełnie to zignorował i zniknął za zamkniętymi drzwiami. Czekałem chwilę, osłupiał, ale nic się nie działo. Raptem kilkoro pracowników zwróciło uwagę na całą awanturę — łypali podejrzliwie to na mnie, to w stronę drzwi. Nikt jednak nie przerwał pracy, nawet oni. Zgiełk trwał nieprzerwanie; telefony dzwoniły, klawiatury klekotały, recytowane do słuchawek litanie ofert nie ucichły nawet na moment.

No więc cóż: Ksztyna miał na biurku idealny porządek. Wszystko czyściutkie, poukładane równo, telefon ustawiony idealnie równolegle do klawiatury, jak od linijki — zupełnie inaczej niż ściankę obok u Nowickiego, gdzie królował artystyczny nieład. Największe nadzieje wiązałem z komputerem, ale okazało się, że jest zabezpieczony hasłem. Wpisałem jakieś na czuja, później jeszcze raz. Trzecia nieudana próba logowania zablokowała terminal. Tyle jeśli idzie o moje umiejętności hakerskie.

Zostały szuflady w szafce pod biurkiem. Niby zamknięte, ale pasujący do wszystkich kluczy ciągle zwisał z najwyższego zamka.

W pierwszej trafiłem na materiały biurowe: spinacze, długopisy, kartki papieru w różnych rozmiarach. Druga była pusta. W trzeciej, najniższej, znalazłem pękaty notes, po brzegi wypełniony zapiskami. W nim — seria nazwisk, którym przyporządkowano adresy i numery telefonów. Gdzieś tam trafił się dopisek w stylu „tylko recepcja, prosić o dyrektora”, albo „zainteresowany rozwiązaniem 4, umówiona cena, ale przeciągają, dzwonić”. Zawodowe notki Ksztyna wykonywał niebieskim długopisem, ale używał też czerwonego — najwyraźniej do kontaktów osobistych. „Nowy telefon mamy”. „Dentysta, umawiać się 8—16”. „Ojciec Bogumił, stare namiary”. W ten sam sposób zapisał też „Ewka, prywatny”, po czym numer — i na koniec serduszko, starannie wyrysowane, jak z pamiętnika nastolatki.

Żona Ksztyna wspominała coś o kochance. Czyżby to ona?

Spakowałem notes do torby. Wstałem. Ruszyłem do wyjścia.

No i wtedy z gabinetu wypadł Nowicki.

— Jesteś zwolniony! Poszedł won stąd, ty chamie ty! — grzmiał bas prezesa. — I naucz się kultury, bezczelna gnido! Szacunku, kutasie! Szacunku się naucz. Zastrany nierobie! Myślisz, że kim ty jesteś? Kim ty jesteś?! Jesteś nikim! Beze mnie w tym mieście jesteś nikim! Nikt cię już nie zatrudni!

Na ten pokaz kultury osobistej Nowicki miał tylko jedno:

— A chu... chuj ci w du... dupę! Ty... ty chuju!

Sztamp szalał. Kolczaste pejcze strzelały od niego naokoło. Gdzie trafiły ścianę, zostawiały czarny ślad, duchowe rezydium. Sama obroza pulsowała, to się rozszerzając, to zwężając — a jej ścisk co chwila pozbawiał Nowickiego tchu.

— Nie mogę tak dłużej — skomlał, żeby za chwilę wycharczeć: — Wy chu... chuje. Na co się ga... gapicie?!

Powlókł półprzytomnym wzrokiem po oniemiałej sali. Twarz miażdżona między strachem a wściekłością.

— Wszyscy jesteście chu... chujami. Proszę... pomóżcie mi. Zje... zjeby.

Odwrócił się na pięcie jak marionetka i ruszył do recepcji.

— Hej, stój! — Podbiegłem do niego i złapałem za ramię. Wywinął się sprawnie. Drugą ręką uderzył w splot słoneczny. Zgięło mnie w pół, o mało nie zwymiotowałem śniadania. Wtedy poczułem uderzenie w kark — ale nie ludzką dłonią, czymś jednocześnie zimnym i piekącym. Przed oczami pociemniało, a w głowie zabrzmiała cudza myśl:

— Ten człowiek jest mój. Znaj swoje miejsce.

Nie pomogły amulety ochronne. Przemożna siła ruszyła moimi mięśniami. Padłem na wykładzinę i zastygłem tak, w pokłonie paralityka. Tymczasem Nowicki minął recepcjonistkę, która zeszła mu pośpiesznie z drogi. Zbliżył się do oszklonej ściany z widokiem na ulicę. Przytknął twarz do szyby, najwyraźniej oceniając jej grubość. Odwrócił się mechanicznie, schwycił najbliższą stojącą

krzesło i zaczął walić nim w hartowane szkło. Łup, łup, łup — materiał nie ustępował.

— Karol, co ty robisz?! — krzyknęła kobieta.

W tym samym momencie stalowe oparcie trafiło słaby punkt szyby, zamieniając jednolitą powierzchnię w delikatną mozaikę. Kolejne uderzenie posłało na podłogę deszcz okruchów. Do pokoju wtargnął wiatr, a razem z nim odgłosy ruchu drogowego.

Po łepetynie plątały mi się zaklęcia, ale grzęzły gdzieś w drodze do ust. Czułem, że w żadne nie wtłoczę woli, więc krzyknąłem z całych sił:

— Nie! Nie jest twój! Nie. Jest. Twój.

Moc trzymająca mnie w kuckach zelżała, choć nie puściła zupełnie. Nowicki jednak — na niego rzeczywiście zadziało. Uspokoił się, głębokim westchnieniem spuścił powietrze z płuc. Spojrzał wokół bardziej świadomie. I zaczął się śmiać — radosnym, pełnym ulgi rechotem.

— No tak, no tak, no co ja robię? Co za dzień! — Nie przestawał chichotać, aż w głosie zabrzmiały nerwowe nuty; aż oczy przestały się cieszyć, choć usta trwały w wyszczerzu. Wkrótce śmiech brzmiał bezdusznie jak terkot karabinu maszynowego: miarowe „ha, ha, ha”, od którego po plecach leciały ciarki.

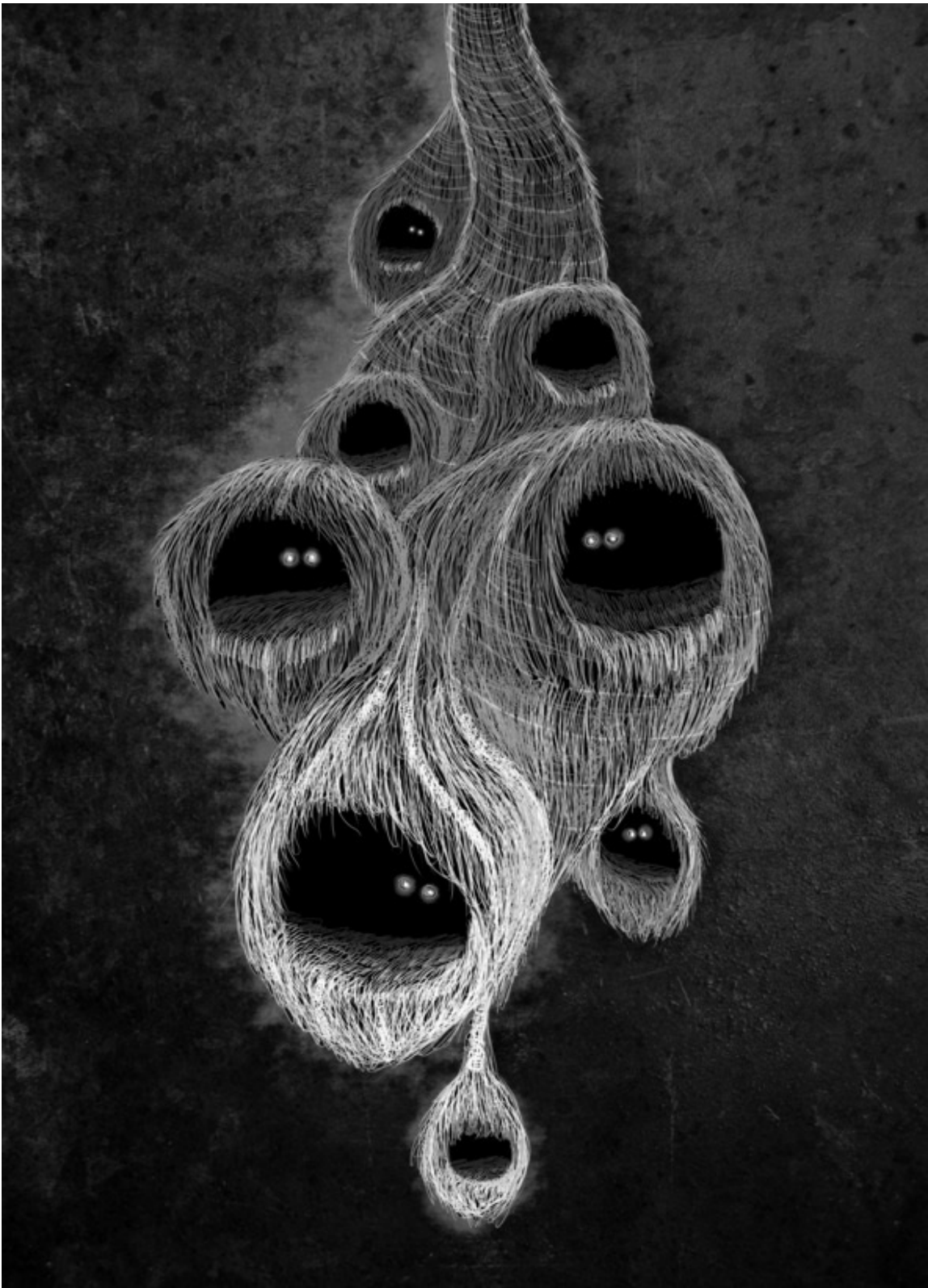
Śmiał się tak, aż zamilkł, nagle i bez zapowiedzi. Odwrócił głowę ku mnie, wytrzeszczył oczy. Na czoło wystąpił mu pot, żyły na skroniach nabrzmiały, a z nosa pociekła stróżka krwi. Rozwarł usta, jakby mu je siłą otwierano — i wycharczał:

— Nie... jest... mój?

Po tym wyczynie opuściło go napięcie, opadły barki, a z twarzy odleciały wszelkie niuanse. Cofnął się pod logo BestSoftu, skąd miał najlepszy rozbieg. Spojrzał na mnie jeszcze raz, zrezygnowany.

— To wszystko twoja wina — szepnął.

Ruszył pełnym pędem do okna. Przebijając resztki szyby instynktownie zasłonił twarz ramionami. Nie mogło go to ocalić przed upadkiem z piątego piętra.



Ekstra bonus

Nie czekałem na policję. W duchy nikt nie uwierzy, więc tylko plątałbym się w wyjaśnieniach.

Poszedłem drogą ewakuacyjną i po schodach zawędrowałem aż na parking pod budynkiem. Spowiednik trzymał się tuż za mną, ale do piwnicy wejść nie chciał. Stał w progu i czekał. Przytrzymałem metalowe drzwi, żeby nie zamknęły mu się przed twarzą. Wlepiłem wzrok w szarą postać, w obce, pozbawione wyrazu ślepie.

Dlaczego duchy robią to, co robią? Nie możemy być dla nich tylko źródłem pożywienia — nie wyłącznie. Czy czują satysfakcję z wpływu, który na nas wywierają? O to im chodzi, o władzę?

Dlatego Nowicki musiał umrzeć?

Dziadek z pewnością miał na to jakąś teorię. Dziadek na wszystko miał teorię; im bardziej wariował, tym łatwiej mu przychodziły. Powinien tu być — na moim miejscu. Silny, dociekliwy i bezwzględny. Spodobałoby mu się.

Ja mam dosyć. Nie prosiłem o żadną z tych atrakcji. Chodzę jak po linie nad przepaścią. Przez większość czasu nie rozumiem, co widzę, co to wszystko znaczy. Jak mam reagować? Czy w ogóle warto? Pewien jestem tylko, że nie mogę zamknąć oczu i zignorować tego, czego nie rozumiem. To prosta droga, żeby zostać drugim Nowickim.

Do diabła. Gdybym tylko zdołał rozkręcić mantrę egzorcyzmu, objąć go zaklęciem...

Wzrok spowiednika był neodgadniony, twarz nie zmieniła wyrazu ani na chwilę. Ramiona wydawały się jednak opuszczone niżej, grzbiet bardziej zgarbiony, jakby to biedne stworzenie dźwigało niewidzialny głaz.

— To nie jest twoja wina — powiedziałem, chociaż skąd mogłem wiedzieć, czy rzeczywiście mnie rozumie. Wyplucie tych słów przyniosło jednak dziwną ulgę. Powtórzyłem dobitniej: — To nie jest twoja wina.

Duch ani mrugnął.

Wyciągnąłem więc ciastko, które obiecałem mu jeszcze w windzie. Wyjąłem nóż. Czubkiem ostrza nakłułem palec i pozwoliłem, aby kilka kropel krwi upadło na dar.

— Z mojej woli — powiedziałem.

Ciasto jest tylko symbolem, czymś do przekazania. Od początku chodziło o energię, siłę życiową, magię. Spowiednik powolnym gestem wyjął ofiarę z mojej ręki, po czym zamknął ją w złożonych dłoniach. W ten sposób dopełnił rytuału. Wyprostował się, odwrócił i rozpoczął wspinaczkę po schodach na wyższe piętra.

Cóż, jest przynajmniej jeden koncept, który rozumieją i duchy, i ludzie:

handel.

Podziemny parking był podejrzanie ciemny. Prawdopodobnie awaria — myślałem, dopóki nie spojrzałem na sufit. Wisiały tam brązowe, skórzaste kokony, ciasno, jeden obok drugiego. Kilkaset nokturników, duchów sprowadzających męczące sny o najskrytszych pragnieniach. Olbrzymia kolonia, na szczęście w głębokim transie, z którego żaden nie wyjdzie za dnia. Nocą jednak — lepiej im nie przeszkadzać. Nie hałasować. Nie świecić po ślepiach. Wtedy obudzi się kilka, może kilkanaście najbardziej zgłodniałych, ruszy na łowy, a nad ranem wróci i w spokoju prześpi kolejne tygodnie. Gdyby jednak zrobić wielki raban, włączyć światła, zbudzą się wszystkie. Wkurzone, w dużej liczbie — zafundują intruzom koszmar na jawie.

Być może awarie elektryczności na parkingu pod Grunwaldzki Center to nie wypadek. Ot, kolejna, choć nigdzie niezapisana procedura, której skwapliwie przestrzega obsługa budynku. „W tę rurę musisz postukać, jeśli piec się zapowietrzy. Kiedy na trzecim puści klima, przekręć tę korbkę tak i z powrotem. I pamiętaj: nigdy nie włączaj wszystkich lamp w piwnicach.”

Jakkolwiek by było, wyszedłem na światło dnia bez problemów. Tam komórka złapała zasięg, a mnie dorwał esemes od „Mrs Grażynki”.

„Tomasz! Nie wyslales wszystkiego. Odp asap. Niebo spada na głowy.”

Cóż było począć. Wpakowałem się do tramwaju i pół godziny później byłem w mieszkaniu. W międzyczasie zadzwoniłem do niej, wytłumaczyłem, że roboty dużo, a po nocach źle się pracuje. Brzmiała nerwowo, jakby projekt rzeczywiście szedł z dymem — ale z drugiej strony, prawie zawsze tak brzmi.

Reszta dnia zeszła mi na aktualizowaniu całej tej graficznej papki — zamienianiu „promocja!” na „okazja!” czy przesuwaniu loga z miejsca na miejsce, kij wie po co. Mogłem to zrobić szybciej, literalnie stosując się do niebornych sugestii, ale efekt końcowy wyglądałby jak kupa. Nie tego po mnie oczekują. Nawet za najgłupszą uwagę kryje się nadzieja, że odgadnę estetykę, o którą klientowi chodzi. No więc bawiłem się tak, sprawdzając, jak elementy do siebie pasują, jak nowe kolory współgrają i czy tekst dalej jest czytelny. Nie zawsze byłem w pełni zadowolony ze zmian, ale cóż — klient nasz pan.

Około osiemnastej zrobiłem przerwę. Poszedłem do kuchni, zaparzyłem herbaty. Spojrzałem za okno na Sky Tower, jak pyszniło się dostojną purpurą w ostatnim świetle dnia.

Wtem — męski krzyk zza szyby:

— Ratunku! Kurwaaa! Ratunkuuu!

Musiał iść z góry, z mieszkania nade mną. Głośne tupanie w sufit tylko to potwierdzało.

Facet krzyczy, krzywda się dzieje. Co robić w takich sytuacjach? Najchętniej nic. Okolica nieciekawa, w każdej kamienicy przynajmniej jedna melina. Sąsiedzi też różni — nie ze wszystkimi człowiek chce trzymać sztamę. Pakując się w domowe sprzeczki można tutaj zarobić nożem. Lepiej zostać w kuchni i dokończyć herbatę.

— Ratunkuuu!

Brzmiało to zbyt poważnie, zbyt przejmująco.

Z szafki w przedpokoju wygrzebałem gaz pieprzowy. Chwyciłem komórkę. Na ramię zarzuciłem torbę ze słoikami pełnymi duchów. Zważyłem w dłoni pęk kluczy — był na tyle ciężki, że z konieczności można by go użyć jako broni.

Wyszedłem z nastawianiem „przezorny zawsze ubezpieczony”. Tyle że w kapciach. Wróciłem, założyłem buty, wyszedłem znowu. Przez ten czas wszystko się uspokoiło. Nikt nie krzyczał, ani nie tupał w sufit. Na klatce cisza, żadnych ludzi, żadnych duchów. Skoro już jednak wybrałem się na tę wyprawę, pokonałem schody na wyższe piętro.

A tam — drzwi do mieszkania uchylone. Wewnątrz zapalone światło, ale przez szparę widać tylko kawałek przedpokoju. Otworzyłem szerzej i wcisnąłem się do środka.

— Już dobrze, dobrze, nie ruszam się — pierwsze, co usłyszałem. — Ała, ała! Już!

Ten sam głos, który wcześniej wzywał pomocy.

— Siedź cicho — odpowiedział mu stanowczy ton kobiety.

Przedpokój dublował za rupieciarnię. Musiałem przejść wąską ścieżką między stertami starych gazet, hałdą usypaną z butów, wypiętrzeniem kurtek na wieszaku oraz rzędem zielonych worków na śmieci, zapewne od tygodni pełniących gwardię honorową. Przez ten cały kram nie zauważyłem od razu duchowych śladów na ścianach — delikatne smugi błyszczwały świeżą energią, jakby powstały dosłownie przed chwilą.

Dotarłem do pokoju głównego. Dwoje funkcjonariuszy — mężczyzna i kobieta — trzymało tam półnagiego, potężnie zbudowanego kolesia. Był w niewygodnej pozycji: ręce za plecami, ciało wygięte w kabłąk, twarz wciśnięta w starą kanapę.

— Uspokój się wreszcie, albo trafisz na dołek — rozkazała policjantka, zakładając delikwentowi kajdanki.

Po lewej, otwarte okno. Na parapecie niewzruszenie siedział gołąb. Szarobury, o zmierzwionych piórach, krzywym dziobie i łapach kalekich od odmrożeń. Menel w świecie ptaków. To jednak tylko materia, pozór skrywający prawdziwą istotę. Wątłe ciało posiadał bowiem silny duch. Jego aura otulała starego gołębia ciepłym światłem, układała się w widmo ptaka o wiele bardziej dostojnego: śnieżnobiałego, z pierzem gładkim i puszystym.

Gołąb jaśniał coraz mocniej, wręcz oślepiął — aż z aury strzeliła wiązka energii prosto w otoczonego policją mężczyznę.

— A, kurwa! Zostawcie mnie! Wygońcie to! — wrzasnął, trafiony promieniem. Wierzgał nogami, próbował się wyrwać, nie miał jednak wielkich szans. W tej pozycji funkcjonariusze mogli go łatwo utrzymać w ryzach.

— Stulżesz mordę, do cholery — wysyczał policjant.

Wiązka zboczyła z celu, sunąc po ścianie i zostawiając na niej widoczny tylko dla mnie osad. Zakreśliłem w powietrzu piąty symbol mocy,

Nuszarganawał. Magia prysnęła jak bańka mydlana. Dopiero wtedy gołąb zwrócił na mnie uwagę — i ogarnął jednym, zaskakująco rozumnym spojrzeniem, pod którym trwałem jak sparaliżowany. Duch musiał być stary; z pewnością wyczytał ze mnie więcej, niż ja z niego.

Moment minął, stwór poderwał się do lotu. Trzepot skrzydeł zwrócił jednak uwagę policjanta, a wtedy ten zauważył i mnie.

— Kim pan jest? Co pan tu robi? — Puścił spokojnego już mężczyznę, zostawiając nadzór w rękach towarzyszki.

— Jestem... sąsiadem z dołu. Usłyszałem wołanie o pomoc...

Przewrócił oczami, po czym zmusił się do czegoś na kształt uśmiechu.

— Jak się pan nazywa? — zapytał, wyciągając notesik.

— Tomasz Zając.

— I mieszka pan dokładnie piętro niżej? — Naskrobał coś długopisem.

— Tak.

— Proszę wrócić do siebie. Nie robić tłoku. Mamy tu interwencję.

Z pomieszczenia obok wychynęły przestraszone twarze dwóch staruszek, zaferowanych nowym głosem. Te panie kojarzyłem — kiedyś zalały mi łazienkę. One tu mieszkały, facet z kanapy nie.

— Tak, nie przeszkadzam. Widzę, że wszystko pod kontrolą. — Wycofałem się do przedpokoju, a później za drzwi. Tam trafiłem na kolejne dwie damy w podeszłym wieku: jedna w szlafroku, z wałkami we włosach, druga w starej podomce. Zaglądały ciekawie do pomieszczenia, gdy pokonywałem przejście, a kiedy stanąłem przed nimi, wykorzystały okazję.

— Drań ciągle tam siedzi? — wypaliła ta z wałkami.

— No... Tak. Tak to wygląda... — odrzekłem.

— Basiu, ale co się dzieje? — spytała pani w podomce.

— Marian przyjechał do Jadzi i Helenki. Burdy zaczął robić, u mnie przez ścianę słyszałam. Pijak jeden. No ale to nie pierwszy raz, tyle że teraz Hela przybiegła do mnie. Zadzwoniliśmy po policję, no i teraz siedzą tam.

— Policja? — Cień niedowierzania.

— Policja!

— Matko kochana. To pijaństwo to najgorsza plaga.

Panie pokiwały głowami i zamilkły, najwyraźniej kontemplując tę mądrość.

— No cóż, do widzenia. — Pożegnałem się i zszedłem do siebie.

Torbę ze słoikami położyłem na kuchennym krześle. Dokończyłem herbatę i już miałem wrócić do pracy, kiedy za oknem coś dziwnie błysnęło.

Kuchnia wychodzi na podwórko — częściowo zabetonowane, a częściowo zarośnięte krzakami. Na granicy tych światów stoi chroniona dachem zagroda na śmietniki. Kontenerów jest tak wiele, że nigdy nie mieszczą się za murem. Zwracają uwagę obcymi kształtami, żywszym kolorem, no i zapachem, zwłaszcza w ciepłe dni. Śmieci stanowią centralny punkt naszego podwórza, dominujący element wystroju.

Dla zwierząt to karmnik, więc ściągają tutaj jak do Mekki. Głównie dzikie

gołębie, bo w okolicy mieszka staruszek, który je dokarmia. Czasem pojawiają się koty. Zapewne szczury też, w końcu jest ich we Wrocławiu więcej niż ludzi. Ptactwo to jednak podstawa. Nie ma dnia, żeby wyjść na podwórko i nie trafić na opierzoną bandę.

Tak samo było wtedy — gołębie wielką gromadą siedziały na odkrytych śmietnikach, na dachu zagrody i w około. Wśród nich błyszczał stwór, którego zobaczyłem na wyższym piętrze. Maszerował po krawędzi kontenera, a pozostałe ptaki z fascynacją śledziły jego ruch. W końcu przystanął, spojrzął na zgromadzone stado. Rozpostarł skrzydła i potrząsnął nimi, jakby chciał rozładować napięcie mięśni. Najbliższe gołębie podchwyciły gest, później powtórzyły go te stojące dalej — ostatecznie rozszedł się jak stadionowa fala po wypełnionych kibicami trybunach.

Dobra. Policja poradzi sobie z człowiekiem, ale nie ma szans przeciwko duchowi. Jakikolwiek zatarg miało tych dwoje, tylko ja to mogłem wyjaśnić. Wręcz powinienem — inaczej będą mi tu znowu krzyczeć. Kłopot w tym, że niegrzecznie żądać informacji nie dając niczego w zamian. Co mogłoby się spodobać duchowi gołębia? Chleb? Kasza? Przetrzęsnałem szafki i wyszło, że najcenniejsze, co mam, to napoczęta paczka rodzynek.

Wymieniłem jeszcze ekwipunek w torbie, żeby być przygotowanym na różne scenariusze — i tak ruszyłem negocjować pokój.

Gołębie czekały. Ich ślepia śledziły mnie od kiedy wyjrzałem przez okno na klatce schodowej. Wyszedłem na zewnątrz, a one rozstąpiły się, tworząc przejście prosto do ducha. Szpaler honorowy.

— Przyjmij proszę ten dar na znak pokoju między nami. — Podsunąłem rodzynki pod dziób staremu gołębiowi. Nie wiem, co trzeba mówić w takich sytuacjach, ani czy trzeba mówić cokolwiek. Rzadko stykam się z istotami nadprzyrodzonymi bardziej ze świata zwierząt niż ludzi.

Stwór przekrzywił łepkę i łypnął podejrzliwie czarnym ślepiem.

— Dar — powtórzyłem. Jeśli nie słowa, może przynajmniej intencja zostanie zrozumiana?

Gołąb chwycił dziobem za worek, poderwał go gwałtownie i rozsypał rodzynki dookoła. Jego poddani rzucili się na przysmak, gruchając z podniecenia.

— Za wielki mniód i słodkość jak dla mnie, ale twoja darowizna bardzo miła, wszystkie się pożywią — powiedział duch po polsku, choć z mocnym akcentem. Jakby... lwowskim? A może kresowym?

— Przychodzę, żeby wyjaśnić...

— Czy tamten człowiek cię przysłał? — nie dał mi skończyć.

— Ten, którego dręczyłeś?

— Ten, który służy szczurowi.

Robiło się coraz ciekawiej — „szczurowi”. Akcent zdecydowanie brzmiał jak z przedwojennych filmów.

— Jakiemu szczurowi?

— Łoj — stęknął. — No to słuchaj, jestem ja. Jestem tu, ale naraz jestem

wszędzie indziej, gdzie tylko jest mój lud. To moje sługi, ale i pany zarazem. Dbamy o siebie, ja pomagam im, one pomagają mnie. Potrzebne jesteśmy sobie oba, bo jedno bez drugiego nie przeżywi. I tak samo jest szcur. Dba o swój lud, jak ja o swój. Gdy szcury rosną w moc, tak też rośni ich opiekun.

— Rozumiem. Ty opiekujesz się gołębiami, a ten drugi duch wchodzi ci w paradę.

— Hożo! Szcur od dawna tutaj silniejszy, bardziej spaśły. Dobre to miejsce dla niego. Dla nas... No cóż prawić, często liczym na ludzką pomoc. Tego właśnie szcur zazdraszcza i tu nas chce zniszczyć.

— Dobrze, ale co ma do tego ten facet z góry...

— Szcur wie, że ludzie nim gardzą, tak i zdobywa ich pomoc szwindlem. Nachodzi we snach, dopada pijanych. Oni myślą, że ot tam, nic wielkiego się nie stało. Zwidy senne, albo delirium. Ale szcurowi wszystko dobre. Wystarczy, że złożą jedną obietnicę, i już! Od tej pory służą jemu, szcurowi. Taki pakt to za mało, prawdziwej mocy nie daje. Ale na drobne sprawy starcza. Bo to w nas ma walić, a czym my w oczach ludzi są, jak nie drobiazg. Sługi szcurego chodzą po ziemi coraz butniejsze, coraz bardziej na widoku. A na nas spada coraz większa nienawiść, bo jedni ludzie zarażają złymi myślami innych. Straszą tych, co gołębiami życzliwi, śmichy z nich robią. A my bolejemy.

— Współczuję, ale to sprawa między tobą i szcurem. Mieszanie w to ludzi to bardzo zły pomysł.

— To szcur miesza ludzi! — kłapnął dziobem.

— Tak? To co to było przed chwilą, tam, na ostatnim piętrze?

Gołąb milczał, wlepiając we mnie okrągłe ślepia.

— Uratowałem go — rzekł w końcu. — Nosił na sobie znak szcurego. Zesłałem wizję, żeby widział, co szcur o nim myśli. Oczęta mu otworzyłem! Teraz zawsze już będzie się bał szcurego. Nigdy w pakty z nimi nie wejdzie.

— Pomogłeś sobie, nie jemu.

— Szcur to szkodnik. Wolność odeń to dobro.

— Nie za cenę fobii — odparłem, ale coś czułem, że i tak nie zrozumie. — Słuchaj, po prostu nie rób takich rzeczy. Nie strasz ludzi.

Duch przekrzywił łeb. Mrugnął raz i drugi.

— Przysługa za przysługę, w takim razie. Zgoda?

— O co chodzi?

— Ciało, które noszę, jest już stare i sparciałe. Samo jego trwanie kosztuje, a pożytku wiele i tak z tego nie ma. Potrzebuję nowego naczynia, młodsze. Ale tu, ot, kłopot. Szcur wygnał nas ze wszystkich miejsc, gdzie można by takiego handlu dopełnić. W mieście przynajmniej, ale poza miasto nie polecę. Skrzydła już nie te, co dawniej. No i mój lud. Mój lud rodzi się i umiera tutaj. Zapomnieli drogę do starych mateczników, a jeśli oni nie pamiętają, to i ja również... A wymiana, aj waj, wymiana wymaga szczególnego rodzaju siły. Wymaga mocy. Tego nasz ród nigdy nie miał w nadmiarze. Ty jednak nie jesteś zwykłym człowiekiem. Tacy jak ty sprowadzają moc, jeśli tylko tego pragną. Możesz mi

pomóc, drogi mój, tu i teraz. Musisz jedynie stać blisko i chcieć, aby czyn się dokonał.

– Tylko tyle?

– To bardzo ważne.

Zgodziłem się. Duch wyjaśnił ceremonię wymiany. Jak na rytuał była wyjątkowo prosta: dwa gołębie miały spoglądać sobie w dzioby – do skutku. Zero filozofii i cudaczenia. Zero teatru. Nie tego uczył dziadek.

Do starego ptaka podszedł młodszy, szarobury z białym śladem na wypiętej piersi. Oba stanęły, mniej lub bardziej wygodnie, na barierze kontenera. No i faktycznie, zaczęły się gapić na siebie, z początku niepewnie, kręcąc łebkami. Z czasem nieruchomiały, aż wreszcie zamarły zupełnie, jak wypchane. Gdy przestały oddychać, świetlista aura przepłynęła z jednego na drugiego. Widmo białego gołębia najpierw rozmyło się, a ułamek chwili później uformowało wokół młodego osobnika.

– To już? – zapytałem.

– Ziomuś, zakończ to jakoś – mruknął duch.

– Jak mnie nazwałeś?

– Dawaj, zakończ to. Abrakadabra, czy coś tam. Smykaj. Bo siedzę jak z dupą na wietrze.

– Abrakadabra – powiedziałem bez przekonania, ale chyba wystarczyło. Błada poświata wokół starego ptaka rozwiała się i biedak padł na bok, prosto w śmieci. Schyliłem się, żeby sprawdzić, czy z nim dobrze.

– Kolo, zostaw go. To truposz – przemówił nowy nosiciel ducha. Głos miał niepewny, jak nastolatek podczas mutacji.

– Dłaczego mówisz tak dziwnie?

– Jo! Coś nie świta? Świeżynka!

– No właśnie.

– Ziomuś, cziluj. Wszystko hula. Nawijam takimi słowami, jakie znam. Stary ramol nasłuchiwał się innych. A ten tutaj zajebiszczak zapodaje jak wy, ludzie.

– Jestem pewien, że nikt tak nie mówi.

– Kurka, luzik, jest okejka. Poszło wyjebicie. Nowe ciało, nowa rozkminka, nowa gadka, wszystko nowe. Zaczajasz.

– Naprawdę nikt tak nie mówi.

– Łotewer. Słuchaj, kolo, ja swoich ziomali nie zostawiam w potrzebie. Chcesz, żebyśmy dali spokój twoim ludkom, no problemo, mamy dil. Pomogłeś nam, my pomożemy tobie. A nawet więcej, dam ci ekstra bonus, jak z reklamy. Kminisz?

– Ekstra bonus. Jak z reklamy.

– Mówisz i masz! No więc słuchaj. Przedwczoraj w nocy przyleciało do ciebie do okna takie jedno chujstwo. Takie brzydkie, kminisz. Ech, jak to powiedzieć, ten wasz język bardzo kulawy. Wlazło ci to do mieszkania, kminisz, a potem się wystrachało i uciekło. Kumasz? Bo mordkę masz jakbyś nie

kumał.

Krzywiłem się, bo dobrze pamiętam intruza. Lepiej, niżbym chciał.

— Tak. Kumam — mruknąłem. — To dla mnie żadna nowina.

— No jacha. To słuchaj. Te smrody zwykle siedzą w ciemnej dupie, pochowane po czarnych, śmierdzących miejscówkach. I gites, tyle że niedawno wyhodowały sobie wielkie jaja. Wyłazą z nor i wpieprzają się wszędzie, nawet tam, gdzie zupełnie ich nie potrzeba. Chwytasz czemu?

— Pewnie mi powiesz.

— No jacha, kurde, koleś. Mają nowego króla. Czy jak tam go nazwać, nie o ksywkę idzie. Największy skurwysyn z nich wszystkich. Wysyła im jakieś, kurka, komendy myślowe, czy inne mambodżambo, a one słuchają, bo to swój. Łażą tu i tam, kombinują to i tamto, ludzi wkurzają, a moje ziomki tylko na tym tracą, bo im więcej chujstwa w powietrzu, tym gorzej się lata.

— Co kombinują?

— A ja tam wiem. — Drgnął nerwowo. — Takiego zgrania to ja jednak u nich nigdy nie widziałem. Potrafią w kilka naraz skoczyć na jednego ziomka i tak nim zakręcić, że robi wszystko, co chcą. Albo takie numery: jeden robi włam do mieszkania, drugi w tym czasie czai na czatach, a trzeci przegania ludzi, jak podejda za blisko. Normalnie skok jak z filmu o gangsterach, mówię ci, ziom.

Potwierdzają się słowa Belszagaja. Duchy rozpaczy to samotni drapieżcy, a jednak jednoczą się pod cudzą władzą. Wbrew instynktom.

— O tym królu, co wiesz?

— Że to chujek i że smrodzi w moim mieście?

— Okej, ale co to jest za stwór? Gdzie siedzi? Musi mieć gdzieś leże.

— A, ziomuś, gdybym wiedział, to bym od tego zaczął. Na pewno nie we Wrocku, ani nie tuż obok. Dobrze kminię, co się w mieście dzieje. Oczko patrzy, niczego nie ominie. Wszystkie nasze oczka. Tutaj go nie ma, więc musi się chować gdzieś na prowincji.

— Jesteś pewien? One są bardzo terytorialne, te duchy, ten rodzaj przynajmniej — zauważyłem. — Po co ich król ma się ruszać tak daleko od swojego leża?

— Czy ja ci, kurka, wyglądam na wyrocznie? Może to jakaś jego porąbana rozrywka? Jak, kurde, polowanie na safari.

— Od kiedy to wszystko się dzieje?

— Jeeny, ziom. Cyferki to nie moja działka.

— Nie no, bez jaj. Umiesz chyba powiedzieć, ile razy dzień zamienił się w noc od czasu, kiedy pierwszy raz widziałeś podejrzane zachowanie tych duchów.

— Ziom, ziomuś, naprawdę. Nie było to tydzień temu, tyle czaję. Dwa tygodnie? Miesiąc? Kolo, dla mnie taka przeszłość to już, normalnie, prehistoria. Dinozaury latają. Kminisz?

— Czekać, pamięć ci sięga na tydzień wstecz?

— Jeny, ale filozo... filozofowanie — zdenerwował się. — Ziom, to jest

właśnie wasz problem, ludzi. Wszystko chcecie wyliczyć i wykminić, nawet to, czego się wykminić nie da, bo nie ma z tym żadnej ekstra rozkminy. Czasem świat jest jaki jest, po prostu zrąbany i nieważne, jak bardzo się zmóźdzysz, i tak nic z tego nie zrozumiesz.

— Ta. Niech będzie. To co, to wszystko? Gdzie ten bonus jak z reklamy?

Gołąb rozpostarł skrzydła, trzepnął nimi energicznie. Uciekło mu jedno białe pióro, które zaraz chwycił dziobem.

— Bier — mruknął, a gdy spełniłem rozkaz, dodał: — To jest właśnie to. Tylko, ziom, uważaj, bo to jednorazówka. Na pierdy jakieś nie wytrać.

Pióro wyglądało niepozornie — ot, lotka. Śnieżnobiała. Co akurat było dziwne, bo skąd takie pióro u gołębia, który jest ni to szary, ni to brązowy.

— Co to za cudo? — spytałem.

— Nie jestem pewien — wyznał stwór bez zażenowania. — Się okaże, jak cię wreszcie napadną te śmierdziele. Zapewnia jakąś ochronę. Chyba. Zresztą, ziom, nie pytaj mnie, przyszłości nie znam.

— Mam z tym uważać, a nie wiem, do czego służy. Serio?

— Łotewer, bierz i noś ze sobą. To jest tru dil, w kij mocarna magia ochronna, prima sort i bez ściemy. Na pewno jakoś zadziała. No, to skoro tak, to tyle mojej nawijki. Jak go załatwisz, tego króla śmierdzieli, to ziomuś, normalnie, wszyscy skorzystają. Nara!

To rzekłszy, poderwał się do lotu, a razem z nim całe stado. Zostaliśmy na ziemi, ja i porzucone truchło starego gołębia. Leżał z nienaturalnie przekrzywionym łbem, między puszką po Coli a jakimiś papierami. Ślepie miał zamknięte, przez co wyglądał spokojnie, wręcz błogo, jakby po długim wysiłku wreszcie — wreszcie! — mógł zasnąć.

Czy istnieje duch, który równie beztrosko wymienia ciała ludzkie?

Spokój ducha

Ewa, kochanka Adama.

Umówiliśmy się w jednej z knajp na Ruskiej, niedaleko jej pracy. O śmierci Adama dowiedziała się dopiero wczoraj, kiedy ja ganiałem za gołębiami. Znajomy zadzwonił do niej z kondolencjami. Nie uwierzyła, głupi żart. Aż sama sprawdziła w szpitalnej kostnicy.

Przez telefon brzmiała oschle, twardo. Obojętnie. Najwyraźniej nie byli z ze sobą tak blisko — myślałem, dopóki jej nie zobaczyłem. Zgaszona, cicha, wciśnięta w szarą garsonkę. Oczy podkrążone od płaczu. Blond fryzura w nieładzie. Na pierwszy rzut oka w niczym nie przypominała kobiety ze zdjęcia, które Adam nosił ze sobą. Ale to z pewnością była ona — choć teraz tylko cień dawnego szczęścia i swobody.

— Więc był pan przy nim? — rzuciła, krzyżując ramiona na piersiach. Siedzieliśmy na uboczu, tuż przy zajmującej całą ścianę szybie z widokiem na ulicę i galerię innych knajp. Niedługo wieczór, więc robiło się tłoczno.

— Umarł w spokoju — powiedziałem. Przed oczami stanęły mi jego drgawki, gdy demon wyszarpywał duszę z ciała. — Właściwie we śnie. Nie wiem, co więcej dodać. W ogóle spotkaliśmy się na Moście Pokoju, tyle się znamy. Wydawał się skołowany, wtedy. Mówił coś bez składu. Później zemdłał. Cóż, wezwałem karetkę. Nie chorował na nic?

— Nie! — zaprzeczyła żarliwie i skuliła się jeszcze bardziej.

— Nie jestem dobry w opowiadaniu o takich sprawach. Chciałbym zadać tylko kilka pytań.

Milczała przez moment, wlepiając we mnie oczy koloru burzowych chmur.

— Kim pan jest? — warknęła wreszcie. — Jakąś hieną? Dziennikarzem?

Ot i masz.

— Nie. Po prostu chciałbym wiedzieć więcej o człowieku, który przy mnie umarł.

— Po co to panu?

— Dla spokoju ducha.

Prychnęła.

— Ona pana przysłała? Jego żona? To jedna z jej gier, prawda?

Pułapka za pułapką. Patrzyła na mnie butnie, nie pozostawiając wątpliwości: w tym stanie, w tych emocjach, nie da się przekonać do niczego.

— Pokażę coś pani. — Schyliłem się do torby. Wyciągnąłem słoik z konopnikiem, duchem sprowadzającym omamy. Postawiłem go na stoliku, między nami. Odkręciłem wieczko.

Giętki, ośmionogi stwór wpełzł na blat i posłał mi wrogie spojrzenie trojga gadzich oczu. Moment później wyrosły mu błoniaste skrzydła, a na

wielobarwnym tułowi pojawiły się twarde łuski. Forma do boju lub ucieczki. Przeszarżował jednak, nie zdając sobie sprawy, jak długie zamknięcie go wygłodziło. Zabrakło energii na kły, gruczoły jadowe lub ślepie miotające laserami. Wydał za mało, żeby mnie wystraszyć, a za dużo, żeby zostało na przełamanie zaklęć wiążących. Zostało mu albo puszyć się po próznicy, albo szybko znaleźć żywiciela.

Wybierając między mną a Ewą, oczywiście zdecydował się na nią.

Konopnik to duch, który potrzebuje wielkich emocji, nagłych przejęć. Nie zostaje na ofiarach długo, więc chce nasycić się jak najprędzej, zwidami prowokując nieszczęśników do żywych reakcji. Ma o wiele prostsze zadanie, gdy trafi na osobę już wcześniej niestabilną.

Jeżeli musi żywić się na kimś w pełni sił, nie wybrzydza — spija taką energię, na jaką trafi. To właśnie przydarzyło się Ewie, kiedy duch niezdarnie wlaźł po ramieniu na jej barki. Z twarzy kobiety odpłynęła podejrzliwość. Jej oczy nabrały łagodnego wyrazu. Wreszcie spuściła wzrok i westchnęła dziwnie, mokro, o krok od łez.

To był dobry moment, żeby powiedzieć:

— Bardzo chciałem pomóc pani przyjacielowi. Nie udało się. Proszę zrozumieć, dla mnie to jak... niedokończona sprawa. Jedyne, co teraz mogę zrobić, to dowiedzieć się czegoś o nim, poznać go lepiej.

Sięgnąłem do kieszeni.

— Adam miał to przy sobie, kiedy go spotkałem. — Podałem jej fotografię, na której promiennie uśmiechała się do obiektywu. Patrzyła na ten dar z napiętą miną, aż zacząłem wątpić, czy dobrze ją odczytuję — może zamierzała dać mi w twarz. Zamiast tego wybuchła jednak rzewnym płaczem.

— To był dobry człowiek — szlochała bezradnie. Barman zwrócił na nas uwagę; odwróciło się też kilka osób z sąsiednich stolików.

— Rozumiem.

— Nic pan nie rozumie. To był dobry człowiek. Ludzie sobie mówią takie rzeczy, ot tak, ale mało kto zasługuje, żeby go tak nazwać. Adam był dobrym człowiekiem, naprawdę dobrym, na całym świecie nie ma lepszego.

Wyciągnąłem paczkę chusteczek higienicznych. Spojrzała sceptycznie na wymięte opakowanie z dwiema ostatnimi sztukami, ale wzięła. Otarła łzy, wysmarkała nos. Odczekałem chwilę i zapytałem:

— Kiedy widzieliście się ostatni raz?

— Jakoś pięć dni temu... Tak, wtedy pojechał do matki. Później rozmawialiśmy dwa razy przez telefon, a potem... Potem nie mogłam się dodzwonić, brak sygnału... — Wzdrygnęła się. — Ostatni esemes od niego. Nie ma to sensu żadnego.

Wyciągnęła komórkę i pokazała mi tekst: „wyszedłem z krainy mroku teraz wszystko rozumiem wracam pokaze ci droge”.

— Pomyślałam, że to żart, więc odpisałam, żeby się pośpieszył — zaskomlała. — A przecież jemu biednemu się już mogło coś z głową robić.

— Gdzie wtedy był? — przerwałem jej, bo rozmowa szła w kierunku jeszcze większego płaczu.

— Był... Powinien być w Czepicy. To pod Wrocławiem. Oboje stamtąd jesteśmy, znamy się od liceum.

— Po co tam pojechał?

— Do matki, pożegnać się — powiedziała smutno.

— Co to znaczy?

— To długa historia.

— Lubię długie historie.

Wyraźnie stężała po moich słowach. Czyżbym cisnął za mocno?

— Dobrze, może nie taka długa — stwierdziła chłodno. — Planowaliśmy wyjazd za granicę, na stałe. Adam chciał powiedzieć o tym matce.

— Razem za granicę?

— Tak. Razem. Co w tym złego?

— Adam był żonaty. To chyba komplikuje sprawę.

— Jezu, ta sprawa i tak jest skomplikowana. Tutaj wszystko ją komplikuje. Wszystko! Akurat rozwód da się załatwić też zza granicy, to nie jest aż taki problem, po prostu papierki dłużej idą. Panu się wydaje, że kogoś krzywdzimy? — Rzuciła mi bojowe spojrzenie. W odpowiedzi wzruszyłem ramionami; nie chciałem z nią walczyć. — Nikogo nie krzywdzimy. Nie bardziej, niż nas skrzywdzono, pięknym za nadobne!

— Mam kuzynkę, która zrobiła podobnie — powiedziałem koncyliacyjne. — Ma podwójne obywatelstwo, polskie i niemieckie, więc wyjechała nad Ren i stamtąd rozwodziła się z mężem. W ich wypadku dodatkową komplikacją były dzieci.

Przewróciła oczami. Przez moment wyglądała, jakby miała dosyć rozmowy i myślała nad wyjściem. Chwilę później spuściła wzrok, z rezygnacją kontemplując niemal pustą filiżankę kawy. Ta huśtawka nastrojów nie mogła być naturalna. Najwyraźniej tak na Ewę działał konopnik: pobudzał emocje, po czym pożerał najsilniejsze, tym samym zmniejszając ich natężenie.

— Wie pan, jest taki moment, kiedy już nie można dłużej. Bańka pęka, czara się przelewa, koniec, kropka. Można tylko rzucić wszystko w cholerę i uciec w Bieszczady. Tyle że nas nie stać na Bieszczady. Razem z Adamem. Nie stać nas, zwyczajnie, nie mamy grosza przy duszy, musimy pracować. Więc pojedziemy do Londynu, albo na jakieś angielskie zadupie, wszystko jedno. Byle dobrze płacili i byle dalej stąd.

— Tutaj pod górkę — stwierdziłem, bo pewnie coś takiego chciała usłyszeć.

— Od ośmiu lat skaczę między pracą a pracą i za każdym razem trafiam na szefa debila. Albo na jakiegoś starego zwyrola, który tylko myśli, którędy dostać się do moich majątek. Sorry, taka prawda. W latach dziewięćdziesiątych zrąbane pokolenie zajęło wszystkie stołki i do tej pory w nie pierdzi. I pal sześc, że to wszystko niekompetentne pały. Ważne, że kutas to jaśnie pan dyrektor, albo jego wysokość prezes. Dłużej w takiej robocie mogą wytrzymać tylko obłudne

kurwy i lizusy. Kontakt z nimi to jak codzienny gwałt na mózgu. Kurwa, naprawdę. Nienawidzę, nienawidzę tego kraju — wycedziła, po czym rozkojarzonym wzrokiem powiodła po wnętrzu knajpy. — Nienawidzę — wyszeptała.

— Okej! Dobrze! Więc Adam pojechał do Czepicy...

— Adama mają wywalić z roboty, wyobrażasz sobie? — przerwała mi, zwracając się bardziej do powietrza po swojej lewej. — Nie wiem, o co dokładnie poszło, ale przecież przepracował tam pięć lat, napchał im kabzę, grube miliony zarobili dzięki niemu. Czy to się liczy? Nie liczy. Wywalą go, żeby zrobić miejsce dla jakiegoś lizuska, kutasiątka. Małego, głupiego karierowicza, który ciągle mieszka z rodzicami. Człowiek myśli, że kryzys przyjdzie mu po czterdziestce, że do pięćdziesiątki ma czas na refleksje. Ale nie skończysz trzydziestki i już czujesz się jak wyżęta szmata. To nie jest kraj na robienie dzieci. A my musimy mieć dzieci, z Adamem, razem. Musimy mieć dzieci.

— Czepica.

— Tak, racja. To chyba wszystko przez nią, tak myślę. Przez Czepicę. Teraz to nawet ładne miasteczko, ale dziesięć, dwadzieścia lat temu to był bród, smród, ubóstwo. No i w tym żeśmy się wychowywali razem z Adamem. Śmieszne — prychnęła. — Wszystko robiliśmy, żeby stamtąd uciec, byle dalej. Ale to nie mogło się udać, nie tak naprawdę, więc przynajmniej dla siebie byliśmy jak azyl. Dwa ptaki w klatce. Tyle daliśmy radę wziąć z tego. A potem... Nagle wyszło, że jednak są sposoby, żeby uciec z zadupia. Wylądowaliśmy na studiach, on na jednym kierunku, ja na innym, ale przecież w tym samym mieście, więc mieliśmy dalej ciągnąć nasze razem. Tyle że nie, nie wyszło, nie mogło wyjść. Za dużo wszystkiego dookoła. Otworzyły się nowe drogi, było więcej nadziei, na nowe, na lepsze. Adam coraz bardziej wyglądał jak relik, jak jakaś wstydliva pamiątka po wyczynach z młodości. Takich, o których w towarzystwie nie wypada opowiadać. — Zaśmiała się smutno. — Znalazł sobie inną. Mnie też się wydawało, że mogę przebierać wedle uznania. No i uciekliśmy, wspólnymi siłami, tym razem od siebie nawzajem.

— A po latach znowu poczuliście się jak w klatce, znowu się spotkaliście i znowu postanowiliście uciec.

— Co? — spojrzała na mnie, jakbym powiedział coś po arabsku.

— Adam pojechał do Czepicy. Widział się tam tylko z matką?

— Tak... Ona jest trochę pomyłona, więc mieliśmy wielką rozmowę, co z tym zrobić. Adam nie odwiedzał jej prawie wcale, od lat, aż nagle teraz zaczęło mu ciążyć. No i pojechał... nie, zaraz. Nie, nie, nie, coś jeszcze było. Dlaczego tak trudno mi się skupić? Miał się spotkać z kimś jeszcze. Z kimś jeszcze...

Zmarszczyła brwi, wlepiając wzrok w sufit.

— Ojciec Bogumił — powiedziała wreszcie, powoli. — Tak, on. Ojciec Bogumił.

Milczała zbyt długo, więc zapytałem:

— Kto to?

— Taki ksiądz, tamtejszy proboszcz, od wielu lat zresztą. Tak go nazywaliśmy, Ojciec Bogumił. Prowadził lekcje religii w liceum. Dobrze się dogadywali z Adamem. Wydaje mi się, że Adam był u niego nawet ministrantem, jakoś tak w podstawówce. Nie jestem pewna... — Znów wpadła w zadumę.

— Dlatego pojechał się z nim pożegnać? Bo był kiedyś ministrantem?

— Wiesz, Ojciec Bogumił to dziwny koleś. Taki miłutki, uczynny, pomocny, aż do przesady. Nikt nie jest aż tak dobry, chyba że ma w tym interes, albo dużo ukrywa za uszami. Ja się od niego trzymałam z daleka... — Spojrzała na mnie pytająco. — Rozumiesz, co mówię, prawda?

— Nie. W sensie, że co, że pedofil?

— Boże, nie! Mam nadzieję! Po prostu śliski, śliski koleś... Jak nachalny sprzedawca, który chce się z tobą zakolegować tylko po to, żebyś kupił od niego jakieś gary. Zresztą, nie wiem. Chyba tylko ja go tak odbierałam. Ludzie go kochali. Adam też. Ojciec Bogumił był dla niego trochę jak, no właśnie, prawdziwy ojciec. Bo jego faktyczny tatko to pijak. Wyobrażasz sobie.

— Wyobrażam sobie.

— Adam wychodził czasem z domu z siniakami. Nikomu się nie chwalił, tylko ja je widziałam. Matko... ze mnie to jednak głupia koza była. Wydawało mi się, że to wszystko, nawet te siniaki, to taka nasza wspólna tajemnica.

Zamyśliła się po raz kolejny. Już chciałem ją pobudzić kolejnym pytaniem, kiedy drgnęła nagle, poderwała głowę i wytrzeszczyła oczy.

— Słyszałeś to? — jęknęła przejęta.

— Co?

— To!

Z głośników nad barem dochodziła dyskretna muzyka. Pomieszczenie wypełniał też gwar rozmów, stukanie szkła o szkło — odgłosy na tyle nienachalne, że dało się je zupełnie zignorować.

— Znowu! To! Nie słyszysz tego?! — Wierciła się, wyglądała za szybę, zajrzała pod stół. Niczego nie słyszałem.

Konopnik, oczywiście. Najpewniej objadł się i zaczął wykorzystywać mocniejsze sztuczki. Wyciągnąłem więc ostatnią chusteczkę higieniczną i ołówkiem zakreśliłem piąty symbol mocy z notatek dziadka.

— Nuszarganawał — dopełniłem zaklęcia, kończąc wszelką magię w okolicy.

Znaki ze słoja przestały działać — jakoś zawsze to wyczuwam. Duch był wolny. Niestety, nie zamierzał z wolności korzystać tak, jak chciałem. Było mu na to zbyt dobrze.

Ewa wlepiła wzrok w blat stołu. Z oczu pociekły jej łzy. Trwała tak, z tępych wyrazem twarzy, jak zepsuta lalka, podczas gdy konopnik długim jęzorem raz po raz sięgał między jej włosy, spijając życiowe esencje.

Nie mogłem tego tak zostawić. Obok piątego symbolu wyrysowałem ósmy.

— Nederendeget — dodałem, wzmacniając efekt, po czym podsunąłem chusteczkę Ewie pod nos.

Zamrugła. Zdziwiona, przyjęła ten dar i od razu przetarła sobie twarz. Nie

zrozumiała intencji, nie mogła zrozumieć; czar zadziałał mimo to. Duch zaczął charczeć i poświstywać, jakby się zakrztusił. Łypnął na mnie nienawistnie, zeskoczył z ramion kobiety na podłogę — i zniknął, kryjąc się w którejś ze szpar między stylowymi deskami.

— Przepraszam — powiedziała Ewa.

— Nie, nie, nie. Nie ma za co — zapewniłem żarliwie. Z poczucia winy, choć ona pewnie wzięła to za empatię.

— Musiałam za dużo wypić. — Spojrzała podejrzliwie na niedokończoną kawę.

— To wszystko jest normalne. Mamy do tego prawo, do tych emocji.

— Proszę to powiedzieć ludziom, którzy się na nas gapią z tamtego stolika.

— Oni? Tamci w hipsterskich gaciach?

Uśmiechnęła się blado. Małe zwycięstwo nad światem.

— Po co panu ten słój po ogórach? — Wskazała go brodą. No tak, nie widziała, co z niego wylazło.

— Taki mój talizman na szczęście i przy okazji, że tak powiem, *conversation starter*.

— Czyżby?

— Kiedy go wyciągam, od razu jest o czym rozmawiać. Działa za każdym razem.

Zaśmiała się. Raczej z grzeczności, ale i tak spadł z niej ciężar.

— Poradzi sobie pani?

— A mam wyjście? — Rozłożyła ręce.

Za oknem przystanął mężczyzna z ośmiornico-podobnym stworem na głowie. Zerknął na zegarek, zapalił papierosa. W tym czasie duch wysunął troje szypulek; na ich końcach otworzyło się troje oczu. Straszne ślepie zlustrowały mnie uważnie — tylko mnie, z całej knajpy. Błysnęło w nich coś na kształt rozpoznania. Moment później człowiek odwrócił się na pięcie i ruszył przyspieszonym krokiem w kierunku, z którego przybył.

Uśmiechnąłem się do Ewy.

— Będę potrzebował adresu matki Adama.

Do domu postanowiłem wrócić tramwajem — i to był błąd, bo na przystanku złapał mnie Ofnir.

Czekałem na Kazimierza Wielkiego; to ruchliwa ulica, blisko Rynku. Dużo ludzi. Tym bardziej, że komunikacja miejska znów zaliczyła opóźnienie i na tablicy elektronicznej co drugi „czas do przyjazdu” rósł, zamiast maleć.

Smok frunął ponad dachami kamienic. Sokolim wzrokiem wyłuskał mnie z tłumu, zleciał w dół i zadudnił:

— Człowiecze! Gdzież się włóczysz?! Szukałem cię w twoim leżu!

Odszedłem na bok, wyciągnąłem telefon i włożyłem słuchawki do uszu.

Ofnir łypał zaskoczony, aż wreszcie prychnął dymem.

— Czyżbym ci kłopot sprawił?

Ze słuchawkami nie wyglądałem jak wariat, który gada do siebie.

— Słucham — powiedziałem, kiedy stwór łaskawie podążył za mną na ubocze.

— Nie jesteś taki, jak wszyscy — stwierdził aż nazbyt poważnie. — To żaden wstyd. Zakończ tę tchórzliwą farsę, porzuć pozory i pokaż im, że mają do czynienia z kimś lepszym!

— Nie każdy jest samotnym drapieżnikiem, jak ty.

Smok znów prychnął dymem, charkocząc przy tym donośnie — tak wygląda śmiech w jego wykonaniu. Wężowe cielsko wiło się w górę jak serpentyna na wietrze. Tylko łeb pozostawał w stałej pozycji, naprzeciw mojej twarzy.

— Ach, dosyć radościom — rzekł wreszcie. — Mam wieści. Okazuje się, że stwór, który naznaczył twego współplemieńca, zostawia swoje smrody po całym mieście.

— Co to znaczy?

— Albo jest wyjątkowo głupi, albo ma dobry powód sądzić, że krzywda mu się nie stanie. Zapewne to pierwsze.

— Słuchaj, nie rozumiem, co do mnie mówisz. Co to znaczy, że zostawia smrody po mieście?

— To znaczy, że wszystko musi wysmarować śmierdzącymi wydzielinami własnego przetrąconego umysłu. Kompulsywnie. Jak zwierzę, które znaczy teren. Takie znaki, jak na twoim znajomku, zostawia na innych ludziach, ale przede wszystkim na innych duchach. Te później krążą po okolicy i roznoszą smród w imieniu swojego herszta. Naprawdę żałuję, że dałem ci się przekonać do tej całej sprawy. Dopóki nie wiedziałem, co ten zapach znaczy, łatwo było go ignorować. Ale teraz wiem, i gdzie nie pójdę, czuć taki sam odór.

— Bardzo mi przykro — powiedziałem oschle. Ofnir to duży chłopiec. Przez kilka tysięcy lat istnienia jego nos ścierpiał mnóstwo gorszych wrażeń. — Dlaczego to tak bardzo cię irytuje?

— Bo miałeś rację!

— No proszę.

— To rzeczywiście wiadomość dla innych duchów. Bardzo wulgarna zresztą: to wszystko moje, tylko moje, a kto nie ze mną, ten przeciw mnie. Przynajmniej taki jest sens, mniejsza o niuanse, bo i tak giną w tłumaczeniu na twój prymitywny język. Bardzo nieprzyjemne zachowanie, bezczelne i chuligańskie. Widać, że nuworysz.

„Nuworysz” oznaczało tyle, co „ma tylko kilkaset lat, młodzik”.

— Ktoś wreszcie będzie mieć dosyć impertynenta i sprawi mu należną nauzkę — kontynuował smok. — Sam bym to zrobił, ale podejrzewam, że siedzi na prowincji. Żeby się wybrać na taką wyprawę, musiałbym zgromadzić prowiant. Bo przecież nie będę jadł tych wulgarnych wiejskich duchów, błe... Aż tak bardzo mi to wszystko nie doskwiera, wytrzymam rok lub dwa. Ty jednak

wyglądasz, jakby bardziej ci zależało.

— Ta — mruknąłem. Pakt, który zawarłem z Ofnirem, czyni z nas sojuszników, w pewnym sensie. To jednak nie znaczy, że zawsze gramy do tej samej bramki. Nasza relacja bardzo często wygląda jak przeciąganie liny: kto będzie górą, kto więcej zapłaci za pomoc, kto wyjdzie bardziej na plus.

— Okej, super, zależy mi — powiedziałem. — Gdzie siedzi ten duch, żebym mógł się nim zająć?

— Obawiam się, że tę tajemnicę musisz odkryć sam — odparła gadzina. — Dokładne poszukiwania wymagają babrania się w tym całym brudzie. No i wczesnego wstawania, jak teraz, żeby załapać się na ludzką porę żeru. Wybacz, ale jeden przyzwoity posiłek nie jest wart aż takiego zachodu.

— Jesteś dzisiaj fontanną szczodrości.

— Och, nie narzekaj. Mam dla ciebie coś jeszcze.

— Co takiego?

— Rozejrzyj się!

Spełniłem jego życzenie, niechętnie. Mój tramwaj ciągle nie przyjechał, więc zniecierpliwieni ludzie wciąż czekali na transport. Obok, na ulicy, samochody stały na światłach; po chwili ruszyły. Piesi wędrowali za swoimi sprawami. Niektórzy nosili na sobie jakiegoś stwora. Nic szczególnego czy groźnego. Ot, duch radości pod postacią tęczowego węża owinał się wokół ręki jednego, ciągnąc go w stronę pobliskiej knajpy dla graczy. Drugiemu na głowie siadł drapnik — szponiasty kudłacz, który dręczył natrętnymi myślami, lecz nigdy nie zostawał na ofierze długo.

Krótko mówiąc: widok jak zwykle.

— Tak myślałem — stwierdził smok. — Świetnie się kamuflują.

— Kto?

— Trzy duchy z tej samej stajni, co nasz dorodny śmierdziel. Jeden jest tam — wskazał łbem w prawo. — Drugi tam. — W lewo. — A trzeci siedzi na dachu za mną. Robią, co mogą, żebyś ich nie zauważył, a już zwłaszcza, żebyś nie poczuł zapaszków, które od nich biją.

Wyteżrzałem wzrok, ale żadnego nowego potwora nie byłem w stanie zobaczyć.

— Dlaczego to robią?

— Możliwe, że cię śledzą. Możliwe, że czekają na okazję, aby cię zabić. Któż to wie?

— Nażad-batga, nażad-batga, nażad-batga. — Zamknąłem oczy i wyszeptąłem jedno z zaklęć na ujawnienie rzeczy niewidocznych. Gdy otworzyłem powieki, w miejscach wskazanych przez Ofnira dostrzegłem dziwaczne smugi, jakbym patrzył przez brudną szybę.

— Co najciekawsze — zauważył smok — wszystkie trzy działają bardzo zgodnie, jak wy to mówicie, niczym wataha wilków. Dość niecodzienny widok. Ich rodzaj rzadko trzyma się razem. Podejrzewam więc, że ta wyjątkowa ostrożność ma konkretny cel, i że nie będziesz zadowolony z niespodzianki,

którą szykują.

— Dzięki za ostrzeżenie.

— Nie zaprzataj sobie. Przyjdzie czas, kiedy mi się odwdzięczysz.

Ofnir trzepnął ogonem i bez słowa pożegnania pofrunął w górę. Wkrótce zniknął za kominem poniemieckiej kamienicy. Tyle go było widać.

— Nażad-batga — powtórzyłem, ale niepotrzebnie. Z każdą chwilą trzy duchy stawały się bardziej widoczne. Ten na dachu, naprzeciwko mnie, wyglądał najgroźniej. Ciało z bulgoczącej czerni, gotowe do zmiany kształtu, ale teraz umięśnione, w napiętym przysiadzie. Zamiast głowy — otwarta paszcza, w której rzędy perłowych zębów sięgały aż do gardła. Na grzbiecie długie kolce. Łap sztuk cztery, każda zwieńczona zakrzywionymi szponami.

Żadna z tych broni nie była mu potrzebna, przynajmniej nie do zmagania fizycznych. Duchy walczą mierząc siłę swojej woli przeciw sile woli cudzej. Chodzi o to, żeby przeciwnik przyjął taką postawę, na jakiej duchowi zależy. Kły i pazury w gruncie rzeczy są tylko kostiumem, możliwe nawet, że założonym specjalnie dla mnie.

W wykonaniu młodych stworów przebieranki wypadają pociesznie. Niestety, ten tutaj wiedział, co robić. Kompozycja jego cielska budziła niepokój, chciałem tego, czy nie. To znaczyło, że rozumiał ludzki strach, czyli był groźny naprawdę; dokładnie na tyle, na ile wyglądał.

Dwie pozostałe istoty nie robiły już równie mocnego wrażenia. Ta po lewej siedziała na dachu przystankowej wiaty, łypiąc na mnie czterema wyłupiastymi ślepiami — żółtymi, o pionowych źrenicach; niemal jak u kota. Poza tym jednak nie przypominała go w ogóle. Miała trzy pary owadzich nóg, gruby odwłok pokryty czarną szczecina, a zamiast ust, giętką trąbkę. Gdyby stwór był mniejszy, prosiłby się o rozdeptanie, albo porządny cios gazetą. Niestety, bydlę urosło do rozmiarów sporego psa.

Ostatni duch ulokował się dalej: niczym wielki nietoperz zwisał łbem w dół z okablowania nad dużym skrzyżowaniem. Błoniaste skrzydła były złożone, a więc zasłaniały go całego. Widziałem tylko długi, giętki nos mrówkojada, którym chłonał zapachy z okolicy.

Wszystkie trzy bestie łączyła czarna struna, cały czas napięta, ale na tyle elastyczna, żeby nie krępować ruchów.

Cóż, pozostało sprawdzić, czy zorientowały się, że je widzę. No i — wy badać zamiary. Przeszedłem na drugą stronę Kazimierza Wielkiego. Ot tak, jakby nic się nie działo. Duchy zmieniły konfigurację. Ten groźny wykonał kilka kroków po dachu i znów przykucnął. Ten z wiaty — zszedł na ziemię, kilkoma susami przebył ulicę, skacząc po dachach samochodów, po czym schował się za gzymsem. Tylko latający mrówkojad nie zrobił nic szczególnego: ruszał nosem w moją stronę.

Poszedłem dalej, przez skrzyżowanie z Ruską, w okolice pasażu Niepolda. Duchy krążyły odpowiednio do moich ruchów. Jeden zawsze trzymał się blisko, podczas gdy dwa pozostałe obserwowały sytuację z oddali. Nie wiem, czy to jakiś

zamysł taktyczny, czy wynikająca z mistycznych przesłanek konieczność. Być może zaklęcie, które ich kryło, dopuszczało mobilność tylko wedle określonego wzorca?

Najważniejsze, że byłem centrum układu. Smok mówił prawdę — śledzono mnie.

Przed siedzibą Banku Pekao pojawił się wybór. Albo pójść w Niepolda, kluczyć po licznych tam knajpach i być może zgubić ogon w tłumie. Albo — doprowadzić do konfrontacji. Nadawało się do tego alternatywne przejście, równoległe do rozrywkowego pasażu; tak samo szerokie, ale zaniedbane, czyli rzadko wybierane przez ludzi.

Poszedłem więc tam. Powitał mnie na wpół zerwany bruk — przygotowanie do robót budowlanych, które ciągle nie mogły się ziścić. Rozkopana ziemia zdążyła namoknąć na deszczu, wyschnąć i namoknąć ponownie we mżawce dziś rano. Przeszła pełną transformację w tłuste błoto. Teraz potrafiła doskonale zachować kształty podeszw ludu okazjonalnie przebijającego się przez ten bajzel.

W połowie długości przejścia stały dwa wielkie, niebieskie kontenery. Gruz piętrzył się w nich, a przecież tuż obok czekały na uprzątnięcie kolejne hałdy resztek po rozebranej budowli. Jakby tego było mało, niezbyt ogarnięte dusze postanowiły zrobić w przestrzeni między pojemnikami śmietnisko. Najwyraźniej — zakładając, że ten, kto zbierze gruz, zabierze też ich odpady. W efekcie czarny worek leżał na czarnym worku, aż do wysokości twarzy. Z przerwanych wysypywały się resztki jedzenia: zapasy zepsutych warzyw, czerstwe ciasta, zgniły chleb. Miejskie zwierzęta musiały mieć używanie.

Oczywiście, śmierdziało niemiłosiernie. Było to jednak najlepsze miejsce, żeby zniknąć z linii wzroku śledzących mnie stworów. Przecierpiałem chwilę, żeby choć trochę przywyknąć do zapachów — po czym schowałem się za kontenerem.

Niedługo później usłyszałem szuranie, stukanie o metal, po czym znów szuranie. Na szczyt kontenera wdrapał się jeden z moich prześladowców. Spojrzał z góry czterema zdziwionymi ślepiami.

— *Nederendeget* — rzuciłem, wykonując dłonią stosowny znak.

Duch zdrętwiał, stracił równowagę i spadł po mojej stronie kontenera. Podczas gdy próbował odzyskać siły, wyciągnąłem pusty słoje i dotykem obudziłem wyrysowane na nim symbole. Wreszcie odkręciłem pokrywkę.

— *Game over*. Włóż do słoja.

Stwór kręcił ryjkiem, napinał odwłok i zapierał się co sił w nogach — ale szans nie miał. Słoje wciągnął go jak odkurzacz pająka.

Niedługo później przybyły dwa pozostałe. Mrówkojad latał nad przejściem, najpewniej wypatrując okazji do ataku. Jego zauważyłem pierwszego, więc spróbowałem strącić na ziemię odpowiednim zaklęciem. Wtedy zza węgła skoczył ostatni duch — ten ze straszną jamą pełną ostrych zębów. Odruchowo uniosłem ręce, błysnęły amulety. Czarne cielsko odbiło się jak od niewidzialnej ściany.

— Dągasz! — warknąłem, kreśląc palcami znak wiążący ducha z ziemią. — Cierp, skurwysynu. — Skierowałem ku niemu moc talizmanów.

Wił się, wciśnięty w błoto; czern jego ciała bulgotała gwałtownie. W oczach zmieniał kształt — karłał, zęby mu wypadały, mięśnie wiotczały.

— Chodź tu! Złaż na ziemię! — krzyknąłem do mrówkojada, który ciągle szybował nad nami. Ten jednak nie podjął wyzwania. Przekrzywił cielsko i pofrunął ponad dachami poza mój zasięg. Struna, która ciągle łączyła oba stwory, naprężyła się gwałtownie.

Wyciągnąłem spodek z pieczęcią Marduka. Żeby przeprowadzić rytuał wedle przepisu, potrzebowałbym jeszcze przynajmniej świecy — no i czasu. Wydawało mi się jednak, że po tylu próbach mam technikę nieźle opanowaną. Poza tym, czym ryzykowałem? Że sztamp zniszczy wrogiego ducha?

Wypowiedziałem pierwsze słowa zaklęcia, wykonałem symbole wzmacniające i już po chwili czułem, jak magia zaczyna działać. Pieczęć poczerniała i choć brakowało dymu ze świecy, właściwe koncentracje energii musiały pojawić się przede mną. Trzeba było je tylko znaleźć. Szukałem więc po omacku, przesuwając spodek nad duchem to w te, to we wte, aż wreszcie coś błysło. Na mrocznej powierzchni rozjaśniała konstelacja iskier.

Większość z tego to był sam duch: jego esencje przepływały w typowy, opisany przez dziadka sposób. Łatwo było je odróżnić od dziwacznych wzorców, w które układały się świetlne punkty tworzące strunę. Podążyłem za tymi kształtami, aż dotarłem do sztampu — wrośniętego w ciało stwora. Obejrzałem wszystko uważnie, z każdej strony i pod różnymi kątami. Bez wątpienia: taki sam konstrukt znalazłem wcześniej na szyi Adama Ksztyiny.

W czarach nie ma „kopiuj/wklej”. Każde zaklęcie to robota rzemieślnicza. Takie podobieństwo między dziełami różnych twórców jest zwyczajnie niemożliwe.

— Twój szef wpakował cię w niezłe bagno — powiedziałem do umęczonego ducha.

Otworzyłem kolejny słój. Potwór nie miał sił, aby walczyć, więc dał się potulnie zassać. I już myślałem, że po sprawie...

— Kyrie Eleison — stęknął ktoś za mną.

Odwróciłem się. Pusto. Worki ze śmieciami poruszyły się jednak, a chwilę później wychynęła stamtąd postać z grubsza ludzka, w łachach sztywnych od brudu.

— Kyrie Eleison, Panie Boże nasz, władco wieków wszechpotężny, który stworzyłeś wszystko i wszystko obejmujesz swoją wolą. — Rozpoznałem słowa: początek modlitwy przeciw czarom. Właściwie użyta, sama w sobie mogłaby być skutecznym zaklęciem. — W Babilonii zmieniłeś w rosę ogień pieca po siedmiokroć gorejącego, a opieką otoczyłeś mędrców po trzykroć błogosławionych. Jesteś uzdrowicielem dusz, nauczycielem świętych, zbawicielem grzeszników...

Głos brzmiał chropowato, drżał z wysiłku. Pod zachodzącą na oczy czapą

dostrzegłem siwe kołtuny, płynnie przechodzące w zmierzwioną brodę. Między jednym a drugim, fragmenty twarzy: spękane usta, rozorane zmarszczkami policzki. Staruszek mamrotał coraz ciszej, ręce trzymając za pazuchą podartej kufajki.

— Co pan? — zapytałem. Chyba tak zachowałby się losowy przechodzień?

— Apage Satanas! — krzyknął w odpowiedzi, wyciągając ku mnie pięść zaciśniętą na różańcu.

Wtedy poczułem swąd spalenizny. Dym poszedł z kieszeni kurtki, więc sięgnąłem tam i wyciągnąłem gołębnie pióro — to od „magii ochronnej bez ściemy”. Teraz było czarne i delikatne; rozpadło się na kawałki, gdy mocniej ścisnąłem.

Czy ten dziadek rzeczywiście wyprawiał tu jakieś czary?

— Apage!

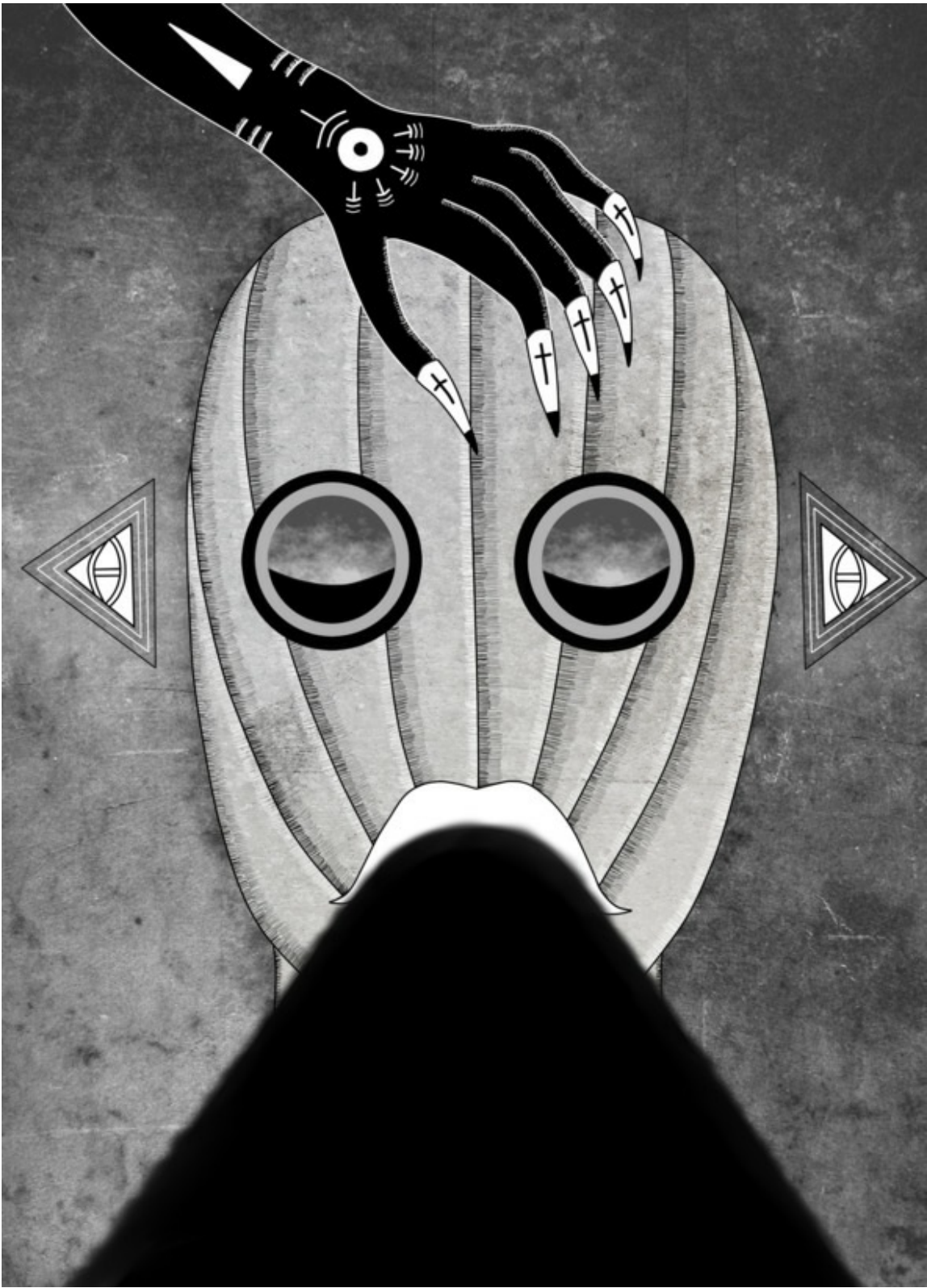
— Okej, spokojnie. Już idę.

— Apage! — wrzeszczał, jakby go bili. — Apage! Kyrie Eleison! Co on tu zrobił! Co on zrobił! Szatanista!

Wycofałem się w stronę, z której przyszedłem. W tym czasie on bełkotał dalsze modlitwy, choć język plątał się z przejęcia.

— Maryjo niepokalana panienko przenaświętsza królowo Polski matko boska zawsze dziewica Bogurodzica Maryja zbawiona...

Proszę państwa, oto Wrocław. Miasto spotkań.



Na pierwszy rzut oka Czepica wyglądała na urocze miasteczko. Wjeżdżając od strony Wrocławia, autobus pokonał krętą drogę przez wzgórza i lasy. Spomiędzy drzew, raz mniej, raz bardziej wyraźnie, wyzierała panorama: jaśniejące w słońcu ściany domów, rude dachówki, ładnie odświeżone kamienice i górująca nad wszystkim gotycka wieża kościoła.

Z bliska, gdy wjechaliśmy między budynki — nie gorzej. Kolorowe ogródki przy domach. Po bokach jezdni szerokie chodniki, za nimi rzędy ukwieconych klombów. Obszerny plac zabaw wypełniony atrakcjami. Później żółty budynek szkoły. Ogrodzone boisko. Hala sportowa. Bieżnia. Basen. Wreszcie — niebieska tablica z informacją, że to wszystko za dotacje unijne.

Przystanek był mały, ale też odnowiony. Wysiadłem razem z kilkoma pasażerami — bus kończył trasę dalej — i wspiąłem się wąską uliczką na wzgórze. Wedle Google Maps, tam, w jednej ze starych kamienic, mieszkała matka Adama Ksztyńy.

Nad głową leniwie szybowały mi wijce. Długie, smukłe, niczym latające węgorze. Były białe i złotookie, a to znaczyło, że żywiły się dobrą energią, pozytywnymi emocjami. Gdy patrzyłem na nie wystarczająco długo, ich sztuczki zaczęły działać — i zatęskniłem za miejscem, gdzie mógłbym naprawdę poczuć się jak w domu. Miejscem, do którego bym należał, tak jak ono do mnie. Może warto przeprowadzić się do Czepicy? Spacerowałbym po okolicznych lasach, wygrzewałbym się w słońcu, wcinał jabłka z lokalnych sadów. Zacząłbym coś uprawiać. Czy to zły pomysł na emeryturę, zapuścić korzenie?

Potrząsnąłem głową. Nawet życzliwe duchy są niebezpieczne — gdy zaszczepią ideę, której nie da się opanować.

Kamienice na szczycie wzgórza nie robiły już tak przyjemnego wrażenia, jak miasto poniżej. Straszyl odpadający tynk, gołe cegły, bezwładny gruz na podwórku, brudne okna poddaszy i szare koronki firanek. Nawet bruk, wcześniej czerwona kostka, nagle zamienił się w kocie łby po Niemcach. Są miejsca, gdzie dotacje unijne nie docierają.

Wijce zostały w tyle, wyczuwając, że to nie ich teren. Minąłem rząd garaży. Przeszedłem obok podpierającej ścianę młodzieży. Wreszcie dotarłem pod drzwi, które wskazywał mój smartfon. Stare, drewniane, bez domofonu. Brązowa farba łuszczyła się, odsłaniając mozaikę dawnych kolorów — niebieskiego, białego i zielonego.

Otoczenie złożyło obietnicę, którą klatka schodowa spełniła: śmierdziała starym moczem i pleśnią.

Poczułem jednak coś jeszcze, dziwną duchotę; powietrze tak ciężkie, że można je kroić. Normalny człowiek wziąłby to za znak rozkładu — i uciekł,

w obawie przed toksynami. Ja, że tak powiem, umiem spojrzeć poza zasłone rzeczywistości. Zamknąłem powieki. Wymówiłem zaklęcie na ujawnienie rzeczy ukrytych. Kiedy otworzyłem oczy, w powietrzu przede mną rozjaśniały dryfujące światełka, jak świetliki w mroku. Łatwiej je było dostrzec, gdy zbijały się w większe gromady, ale nawet bez tego ich obecność była oczywista: ściany, podłogi, barierki, wszystko emitowało lekką poświatę. Wyciągnąłem rękę w głąb pomieszczenia. Od razu zleciały do niej widmowe konstrukty, przylgnęły do ciała i sprawiły, że skóra zaczęła błyszczeć.

Kolonia smyślni.

Istnieją duchy tak małe, że nawet ja nie potrafię ich dostrzec bez pomocy. Dziadek wierzył, że są częścią większego organizmu, oplatającego całą Ziemię. Ów byt nazwał smyślnią i zdefiniował jako nieświadomego boga, który wszystko widzi, wszystko pamięta, ale nie potrafi rozumować, ani działać w odpowiedzi na bodźce. Pisząc to, towarzysz Zajac był już jednak nieźle walnięty. Nie wyrażał się precyzyjnie, nie dbał też o rygor logiczny. Akapit niżej wyliczał sposoby na schwytanie Dziadka Mroza oraz przechwalał się klątwą głupoty, którą własnoręcznie nałożył na Reagana.

Wchodziłem więc po schodach, próbując przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałem na temat smyślni. Nie było tego wiele. Ludziom wystawionym na jej działanie łatwiej było przywołać wspomnienia, ale trudniej nauczyć się nowych rzeczy. Bardzo silne manifestacje mogły wywoływać dyskomfort nawet u osób pozbawionych mojego daru. Jeśli wierzyć dziadkowi, smyślni była niezbędna, by osiąść moce umysłu, takie jak czytanie w myślach. Żadnej z tych informacji nie potrafiłem zweryfikować. Pierwszy raz trafiłem na tak dobrze rozwiniętą kolonię.

Jedyne, co było pewne, to że duchy oblepiały ściany, zalegały na podłodze grubą warstwą i wisiały w powietrzu tak gęsto, że nie dało się ich nie wdychać.

Wchodziłem więc, wdychałem. Coraz mocniej to na mnie działało.

Ale co mogło być w tym złego, skoro wszystkie kamienice są takie same, a w żadnej dotychczas krzywda mi się nie stała. Na studiach pracowałem w małym call center, które mieściło się w prywatnym mieszkaniu, na poddaszu podobnego budynku, może tylko mniej cuchnącego. Co rano pokonywałem cztery piętra, mijając ludzi wychodzących do pracy albo wracających z psem ze spaceru. Później siadałem na swoim stanowisku, łokieć w łokieć z innymi, i dzwoniłem. Hałas, ale ścisk przede wszystkim. Taki sam ścisk jak przed maturą, kiedy chodziliśmy na korepetycje do matematyka i mogliśmy rozsiąść się tylko na jego kanapie. Łokieć uderzał o łokieć podczas rozwiązywania zadań, a mieszkanie śmierdziało tanimi papierosami. Wystarczyło otworzyć drzwi i smród rozlewał się na poszarpaną wykładzinę klatki schodowej, mieszał z próchnem, na które korniki przerabiały przedwojenną balustradę. Łączył siły ze smrodem z dołu, z piwnicy nieremontowanej od powodzi. „Taka specyfika kamienic, trzeba to pokochać” — powiedziała mi kiedyś kobieta, od której wynajmowałem mieszkanie. Sama żyła

w świeżo wybudowanym domu pod miastem i miłowała kamienice z perspektywy konta w banku.

Gdy stanąłem pod drzwiami pani Ksztyny, miałem wrażenie, że pokonałem nie jedną, ale dziesiątki różnych klatek schodowych. Plastikowy przycisk dzwonka też wyglądał jak wszędzie, jak zawsze, jak idealna abstrakcja przycisku dzwonka. Taki sam naciskałem przed pierwszą randką. Identyczny zamontowano w korytarzu kumpla z podstawówki, po tym, jak jego starzy się rozwiedli... Czy tak działa smysłń? Apa-nase, apa-nase, apa-nase.

Zadzwoiłem wreszcie. Zagrała melodyjka, którą kojarzyłem — apanase! — nieważne skąd. Zaraz potem rozległo się szuranie kapciami.

W drzwiach stanęła niska staruszka, zupełnie siwiuteńka. Jej twarz — zastygła w zdumieniu maska. Oczy szkliste. Zmarszczki jak kronika trosk.

— Dzień dobry — zacząłem. — Nazywam się Tomasz Zajęc. Przyszedłem w sprawie pani syna.

— Mojego syna?! — wybałuszyła oczy.

— Adam Ksztyna, pani syn. Dobrze trafiłem?

— Adaś...

— Czy mogę wejść? Musimy porozmawiać.

Zdziwione oblicze nabrało podejrzliwości. Zmarszczki trafiły w znajome miejsca.

— Kto pan jesteś?! — kobieta zaskomlała, przymykając drzwi.

Westchnąłem.

— Nazywam się Tomasz Zajęc. Jestem... przyjacielem pani syna — rzuciłem, przezornie wpychając stopę za próg. — Musimy o nim porozmawiać.

— O Adasiu?

— Tak, o nim.

— Adaś tu nie mieszka. Do Wrocławia się przeniósł, na studia.

— Tak. Tak, wiem. Zgadza się. Właśnie o nim musimy porozmawiać.

— Ale czego pan chcesz?

— Porozmawiać.

— Co pan? Co pan, zdurniał? — wypluła z mieszaniną rozbawienia i niewiary. Drzwi zasłoniły ją zupełnie, ale zatrzymały się moim bucie.

— Dobrze! — krzyknąłem. — W porządku! Pani syn nie żyje! Rozumie pani? Nie żyje!

Chwila ciszy.

— Panie, ale kto pan jesteś? — padło wreszcie.

Widać pani Ksztyna cierpiała nie tylko na dolegliwości ciała. Sięgnąłem do torby, po słoiki z duchami, które zabrałem na taką choćby okoliczność. Któryś ze stworów mógłby staruszkę uspokoić, ułatwić zebranie myśli. Pytanie — który?

Rozmyślałem nad gźdylem, który żywił się snami, więc ofiary najpierw otumaniał, a potem usypiał. Postukałem w wieczko nad łbem fanfaraona — złapanego na placu zabaw, gdzie pochłaniał ślady po matczynych troskach. Dotarłem nawet do słoja z kolczastym szpilcem, duchem zatracenia się w bólu.

Wtedy dopadło mnie déjà vu.

To nie pierwszy raz, gdy stałem przed tymi drzwiami. Nie pierwsze drzwi, które blokowałem nogą. Nie pierwsza staruszka z demencją. Nie pierwszy martwy syn. To samo — dokładnie to samo — już się zdarzyło. Jestem zamknięty w nieskończonym cyklu wejść i wyjść, w nieskończonej iteracji domów, schodów, mieszkań, słów wymienianych bez zrozumienia. Wiedziałem, co się stanie, wiedziałem, co musi się wydarzyć — ale ta wiedza wracała z trudem, jak dawno zapomniane słowo.

„Jestem z Caritasu”, ktoś powiedział — tu i teraz, gdzieś i kiedyś. Usłyszałem to jednak tak dobrze, jakby zdanie padło z moich ust.

— Jestem z Caritasu — rzekłem więc. — Przygotowujemy paczkę na święta i przyszedłem zapytać, czego pani potrzebuje.

„Jestem z opieki społecznej”, wtórowało echo w mojej głowie. „Jestem z kuratorium”. „Przychodzę od księdza”. „Komornik”. „Policja, otwierać!”

— Paczkę na święta? — Starsza pani znów rozwarła drzwi. Zlustrowała mnie dziwnym wzrokiem, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. — Święta... Adaś... Adaś potrzebuje nowych spodni. Dziura w starych. Dziura w starych, wie pan. Chłopak nie szanuje ubrań. Biega, brudzi, no i niszczy to wszystko, niszczy. Cierpliwości już nie starcza. Co ja z nim mam?! Pan sobie nie wyobraża. Chce pan może herbaty? Proszę wejść. Proszę.

— Dziękuję bardzo — powiedziałem.

To wszystko sprawka smyślni? Może mi wreszcie odbiło, jak tej babuleńce?

— Ile lat ma chłopiec? — moje usta powtórzyły echo rozmowy, która wydarzyła się niegdyś, wydarzy się w przyszłości, więc może zdarzyć się i teraz.

— Piętnaście. Utrapienie!

— Piętnaście? To już chłopisko. Powinien szanować ubrania.

— Młodzi, wie pan. Młodzi. O nic nie dbają. Spodnie rozedrzeć na kolanach. Prosto na kolanach. Herbaty?

Poprowadziła mnie w głąb mieszkania, perorując o rozmaitych niedoborach garderoby syna. Wejściowy korytarz kończył się drzwiami do łazienki. Po drodze minęliśmy otwarte przejście do salonu, gdzie stary telewizor stał na przystrojonym koronkami ołtarzyku. Kolejne pomieszczenie, tym razem zamknięte — i kuchnia: podłużna, klaustrofobiczna, z jednym wąskim oknem przy stole. Staruszka usiadła na jedynym krześle, po czym powiedziała, zwracając się raczej do lodówki, niż do mnie:

— Adaś to dobry chłopiec. Z nikim się nie pobił. To wszystko te Michalczyki, spod trójki. Oni go strasznie nie lubią, dokuczają mu. To łobuzy. Adaś to dobry chłopiec. Jest ministrantem, do kościoła chodzi. Uczy się. Wie pan, jak to trudno z dziećmi w tym wieku.

Pachniało przypalonym mlekiem i stęchlizną.

Na białych ścianach widniały dziwne zacieki, które zdawały się przesuwać i zmieniać kształt, kiedy tylko patrzyłem gdzie indziej. Podszedłem do najbliższego. Gdy wyciągnąłem rękę, cofnął się za szafkę — ale nie na tyle, żeby

zniknąć zupełnie. Dotknąłem go i od razu usłyszałem szloch. Odległy z początku, wkrótce wypełnił pokój. Najpierw płakało dziecko, szczerze i od serca. Później dołączył głos kobiety. Przejmujące łkanie, pełne żalu, którego nie dało się już stłumić.

Oderwałem rękę od ściany. Koniuszki palców były mokre. Na języku poczułem sól, choć nawet nie otworzyłem ust.

Staruszka nie zwróciła na mnie najmniejszej uwagi.

— Proszę pana, naprawdę proszę, niech pan nie mówi takich rzeczy. Adaś ma tutaj dobrze. Niech mi pan nie mówi... No niech mi pan nie mówi, że jak my mieszkamy, że w warunkach takich. Mieszkamy. Z rodziną jest. Gdzie mu będzie lepiej, jak nie z rodziną? Proszę go nie zabierać. Proszę pana...

Wyszedłem na korytarz i otworzyłem drzwi zamkniętego pokoju.

Klitka niewiele większa od kuchni. Okno na zagracone podwórze, pod oknem jednoosobowe łóżko. Obok biurko i wysiedziane krzesło obrotowe. Tyle się zmieściło. Tyle — oraz szafka, na której i pod którą ułożono stosy książek. Stała tuż za drzwiami, więc zauważyłem ją dopiero po ich zamknięciu. Powieści przygodowe, fantastyka, tomiszczą o historii, lektury szkolne. Woluminy pięły się w górę, książka na książce. Szczyt każdego stosu pokryła gruba warstwa kurzu — poza jednym.

Wziąłem książkę z tej kupki. „Conan Bojownik”, autorstwa Roberta Ervina Howarda. Twarda okładka, a na niej półnagi osiłek o zaciętej minie. Bez wątplenia to dawny pokój Adama Ksztyny. Możliwe, że nic się w nim nie zmieniło od jego wyjazdu na studia.

Usiadłem na łóżku. Zaskrzeczały sprężyny. Rozłożyłem się wygodniej, czytałem przycisnąłem do piersi i wlepiłem wzrok w pęknięcia na suficie; w szarą ścianę, w smutne drzwi, zniszczone krzesło, stare biurko. Nie było na czym zawiesić oczu, żeby nie poczuć się jak w klatce. Całe mieszkanie sprawiało wrażenie, jakby mury chciały mnie przydusić, unieruchomić i powoli strawić. Od razu zabrzmiał instynkt: uciec stąd, z żołądka bestii. Zburzyć to wszystko, niech nikt już nie cierpi. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym musiał tu dorastać.

Cóż, Adam czytał. Dużo.

Otworzyłem „Conana Bojownika” tam, gdzie książka najchętniej się rozwierała. Conan mknął niczym rozjuszony tygrys...

Był już o parę kroków od schodów, na których stali szyderczo uśmiechnięci Akolici. Wściekłość rosła w nim z każdym susem. Czarownicy nie mieli prawa plugawić magią umysłu Keleny, ani czynić z mieszkańców grodu swych niewolników.

Barbarzyńca uniósł kindżał do ciosu, gdy w nagłym momencie jasności przypomniał sobie słowa kochanki: „zniszcz kryształ”. Pod wpływem impulsu szybszego od myśli, skierował stalowe ostrze w bok, na rzeźbiony w straszliwe bestie ołtarz. Moment między ideą a działaniem był tak krótki, że żaden czarnoksiężnik nie zdołałby odkryć na czas zamiaru barbarzyńcy. Żaden, poza Tot-Amonem, doskonale rozumiejącym mechanizmy pułapki, w którą wprowadzał Conana od

momentu, gdy spotkali się po raz pierwszy.

Szaleńczy krzyk rozbrzmiał pod sklepioną kopułą jaskini...

— Zostaw mnie! Zostaw mnie! — dobiegło z kuchni.

Zamarłem.

Powiniennem sprawdzić, co się dzieje, ale smysłń sama podsunęła obrazy. Ojciec znów wrócił pijany. Matka może robiła wyrzuty, może się patrzyła krzywo — a może po prostu była. Wystarczyło cokolwiek. Bełkotliwa mowa przechodziła w ryk wściekłego samca. To było pewne, przewidywalne, niezawodny mechanizm, zawsze naoliwiony.

— Ty kuuurwo — jedyne rozpoznawalne słowa.

Lepiej było tego nie słyszeć. Nie reagować i udawać, że wszystko w porządku. Ojciec po pijaku miał rękę szybszą od myśli. Język — im bardziej się plątał, tym więcej jadu sączył. Lepiej było wbić wzrok w książkę.

Tylko że dureń nie rozumiał granic. Wchodził do pokoju nieproszony. Siadał na krześle, albo na łóżku, gęba spocona, policzki i nos czerwone. Cuchnął. No i zaczynał pieprzyć o tym, że kiedyś wyjadą w wielką podróż, albo że kupi super samochód, albo że syn będzie piłkarzem. Adam nie mógł tego słuchać. Mdlilo go. Odpyskiwał, że nie chce niczego. I nie będzie żadnym piłkarzem. Będzie nikiem. Nikim!

Ojciec siedział wtedy nieruchomo, łypał półprzytomnym wzrokiem.

— Zastrany gówniarzu — mówił czasem. — Mały gnoju — wyznawał kiedy indziej. — Spalę te twoje książki. Ty jesteś moim synem? Kurwa, nie jesteś. Jakiś pajac cię zrobił twojej kurewskiej matce. Spalę te twoje książki, głupi debilu. Nie wyjdiesz stąd, spalę cię razem z nimi. Rozjebię ci ryj i spalę. Wszystko to, kurwa, pójdzie z dymem, ty i twoja matka kurwa.

Smysłń powtarzała jego słowa jak zdartą płytę. Im więcej trucizny się z nich wylało, tym dokładniej widziałem to, czego Adam nie potrafił — kolczasty sztamp na szyi ojca, czarną smycz znikającą za oknem.

— Ty debilu, będziesz nikiem? Będziesz! Tak, kurwa, jak z tobą skończę! Będziesz nikiem!

Ojciec nie musiał spełniać swoich gróźb — każde zdanie krążyło w Adamie, krążyło we mnie. Jad rozlewał się po członkach. Chcieliśmy wstać, ale brakło sił. Obaj byliśmy ciężcy, niezdarni, godni pożałowania. Próbowaliśmy odpowiedzieć, ale język plątał się w ustach. Wyszły piski, płaczliwe skomlenie. Wreszcie: udał się krzyk. Krzyczeliśmy, wrzeszczeliśmy, wypluwaliśmy płuca — a i tak nikt nas nie słuchał.

Nie potrafiłem zareagować; Adam przejął inicjatywę. Sięgnął po książkę, otworzył ją. Litery ułożyły się w słowa, a słowa w znaczenie.

Niczym dziki kot, Conan zeskoczył z gzymsu na zrujnowany chodnik. Już nie potrzebował osłony cienia, rzucanego przez pozostałości starożytnych budowli.

— Wyjdź i poddaj się! — zakrzyknął herszt bandytów.

Conan wyciągnął miecz i stawił czoła zamaskowanym napastnikom. Nie złodziej, skradający się w mroku, lecz wojownik o potężnej posturze i pewnej postawie. Gdy wyszedł z mroków, złoczyńcy stanęli w pół kroku. Na szerokiej twarzy Cymeryjczyka pojawił się chłodny uśmiech.

— *Który z was umiera pierwszy?*

W obecności barbarzyńcy ojciec karłał. Dalej gadał, ale jego głos był wątyły i odległy. Adam nie przestawał czytać, a ja zwlokłem się z łóżka, chwiejnym krokiem minąłem drzwi i pokonałem korytarz. Zatrzymałem się dopiero na klatce schodowej. Smyślni napierała natarczywie, jej blask lepił się do mnie jak klej.

Musiałem wyjść.

— Co tu się dzieje?! — Drzwi sąsiedniego mieszkania otworzył brzuchaty mężczyzna w brudnym podkoszulku.

Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem, jakby nie potrafił zdecydować, skąd mnie kojarzy — i czy na pewno mnie zna.

— Łobuzy! — warknął w końcu. — Znowu coś kombinujecie! Won, bo policję wezwę!

Pod jego czujnym okiem zszedłem po schodach, kurczowo ściskając barierkę. Świat wirował, a nogi plątały się jak po pijaku.

— Matko święta, co to za hałasy? — Piętro niżej: malutka staruszka tonąca w za dużym swetrze. — To ty! Łotrze! Chorą matkę zostawić! Wstyd! Tfu!

— Hałas robi! — wtórował jej facet z góry. — Wrzaski tylko i wrzaski. Porębana rodzina! Spokoju, kurwa!

— To nie moja wina! — usłyszałem swój głos i sam nie byłem pewien: czy to ja się tłumaczę, czy Adam.

— Matka na świat cię wydała. Przecież jak to tak można, zostawić ot tak, bez opieki? Bój się Boga!

— Pani się nie produkuje. To patologia! Pijaki i zbóje, cała rodzina. Pani spojrz, jaki pijany lezie. Patole! Co do jednego!

— Bójcie się Boga!

— Was wszystkich pozamykać! Policję wezwać i zgarnąć do ciupy! Wrzaski po nocach, człowiek spać nie może, do ciupy z wami! Ja podatki płacę! Słyszysz mnie?! Ja podatki płacę!

Z trudem schodziłem po schodach, a na każdym piętrze ludzie otwierali drzwi, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie. Patrzyli na mnie z rozbawieniem — pijak, co ledwo lezie, i furiat, co na niego krzyczy.

— Jaki ojciec, taki syn — słyszałem. — Niedaleko pada jabłko.

Wyleciałem na ulicę z takim impetem, że potknąłem się na nierównym chodniku i zaryłem w asfalt. Wtedy również usłyszałem śmiech:

— Nie no, co za ofiara.

— Ja go znam, to ten półmózg z góry.

Mówiły to dzieciaki, które minąłem wcześniej, w drodze do kamienicy. One, a jednak nie one. Rozbudzona smyśl rozlewała się wokoło, chwytając wszystkich

i narzucając im nowe role. Apanase, apanase, apanase — nie działało. Czemu teraz nie działało?

W smyślni dzieciaki wyglądały groźniej. Stado głodnych wilków, wypatrujących łatwego łowu.

— Spierdalać! Spierdalać, skurwysyny! — krzyknął Adam moimi ustami, żałośnie, desperacko. Nie wiedziałem, że mój głos potrafi uderzyć w takie tony.

Dla wyrostków fraza nie była zaskoczeniem. Spodziewali się jej, wiedzieli, jak zareagować. Nim zdołałem cokolwiek zrozumieć, biegłem co sił w dół wzgórza — a za mną banda wrzeszczących dzikusów. Harmider wywabił z ukrycia dziwne istoty, które rzadko znajdują w mieście pożywienia. Duchy pogodni i łowów: smukłe, szybkie, o zakrzywionych dziobach i szponiastych łapach. Zeskoczyły spod gzymsów, wypełzły ze studzienek kanalizacyjnych. Siadły dzieciakom na barkach, wtłoczyły jady i przejęły kontrolę. Nagle nie goniono mnie dla jaj, lecz dla absolutnej władzy, jaką ma drapieżnik nad schwytaną ofiarą.

Nawet Adam to zrozumiał i zareagował niczym każdy zwierz łowny — paniką. Adrenalina strzeliła przez żyły. Przeskoczyłem płotek. Ruszyłem przez ogródek, byle szybciej, w boczną uliczkę. Wielkie kroki. Zdażę, zdażę — myśl, choć przed oczami mroczyki. Później przez jezdnię, prosto w kolejną uliczkę. Skręt raz. Skręt drugi.

Ale: brak tchu.

Bez bólu, bez żadnego ostrzeżenia, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Choć chciałem biec dalej, nie potrafiłem zmusić ciała do właściwego tempa. W końcu zatrzymałem się pośrodku szerokiej na dwa metry alejki, między ścianą jednej kamienicy i drugiej.

Za mną — nawet nie krzyki, lecz wycie. Stado zwierząt. Spojrzałem na nich, w bezlitosne ślepie drapieżców, w okrutne uśmieszki, w kły i szpony. Strach Adama podszedł mi do gardła, mięśnie drgnęły mimowolnie. Ale już rozumiałem, że w tym rytuale mogę tylko zostać ofiarą. Adam tylko tyle potrafi zagrać. Tego uczył się całe życie. W jego arsenale nie ma broni, której mógłby użyć.

Rozdygotaną dłonią otworzyłem torbę. Na wierzchu leżał „Conan Bojownik”, którego najwyraźniej ukradłem z mieszkania, choć nie pamiętałem kiedy. Nie o książkę mi jednak chodziło — przełożyłem ją do kieszeni kurtki i sięgnąłem między oznaczone symbolami słoje. Wreszcie wymacałem otoczek, który dostałem od Belszagaja. Był boleśnie zimny, ale schwyciłem go mocno, całą dłonią.

— Belszagaj! Na nasz pakt! — wycharczałem przez ściśnięte gardło.

Rzuciłem kamień przed siebie. Tylko ja usłyszałem wściekły ryk i tylko mnie objawiła się czarna chmura, która wyrosła z ziemi, przybierając kształt człowieka bez twarzy. Dzieciaki nie mogły nic zobaczyć, ale wyczuły, że coś jest nie tak. Stały niepewne, podczas gdy demon siłował się z dosiadającymi ich duchami. Gdy kogoś uwolnił, zaraz pętał go ponownie, tym razem wężami z czarnego

dymu. Mina rzedła takiemu delikwentowi. Cofał się i rozglądał, któredy czmychnąć. A jednocześnie — nie mógł. Każde zwycięstwo zwiększało moc Belszagaja. Coraz trudniej było z nim wygrać, więc i coraz więcej czarnych kłębow zasłaniało pole walki.

Nie czekałem na koniec. Zużyłem już jedną jedyną przysługę, jaką demon był mi winien.

Ruszyłem w drugą stronę, tak szybko, jak potrafiłem. Nogi dygotały ze strachu i zmęczenia, ale im dalej od szczytu wzgórza, tym trzeźwiej myślałem. Smyślni ulatniała się razem z resztami myśli Adama. Zostało po nich tylko jedno — chęć pójścia do kościoła. Nie rozumiałem tego pragnienia, ale chciałem zrozumieć.

Wędrowałem więc trasą, która wydawała się dziwnie znajoma, po coraz ładniej utrzymanych chodnikach, obok coraz bielszych domków. Aż trafiłem na plac kościelny, okolony drzewami, ze świeżo wymienionym brukiem i obowiązkową tabliczką informującą o dotacjach.

Adam zareagował nagłym ukłuciem niepokoju.

— O co chodzi? — zapytałem sam siebie, ale nie dostałem odpowiedzi.

Kościół wzniesiono w stylu gotyckim; choć nie był duży, piął się śmiało w górę. W okolicach XVII wieku ktoś jednak wpadł na pomysł, żeby go przebudować. Chlapnięto złotą farbą, dodano błyszczących ozdób, na wieki dokumentując barokową pretensjonalność. Teraz wszystko zdążyło już pokryć się patyną, która zrównała tłuste cherubinki ze szczerbatymi gargulcami.

Ogólnie był to ładny budynek. Ciekawy. Z rodzaju tych, które pokazują charakter wszystkich poprzednich właścicieli. I jak wiele kościołów, wybudowano go na miejscu świątyni jeszcze starszych. Tak przynajmniej sądziłem, bo duchy omijały to miejsce. Od kiedy wszedłem na plac, zauważyłem tylko jednego, skrytego w koronie drzewa, wytrzeszczającego trwożliwie ślepią z najgłębszych cieni.

Wewnątrz budynek wyglądał zaskakująco surowo. Wysokie sklepienie dominowało nad umieszczonymi niżej ozdobami, które potrzebowały światła, by zabłysnąć. Lampy pozostawały jednak wyłączone, a dzień nie był szczególnie słoneczny. Połota ginęła więc w cieniach alków, zaś obrazy czerniały, przytłoczone barokowymi ramami.

Nigdzie żywej duszy. Przeczucie, na wpół zapomniana pozostałość po Adamie, pchało mnie jednak do przodu. Przeszedłem główną nawą do pierwszej ławy. Usiadłem. Nie potrafiłem pozbyć się wrażenia, że coś mi umknęło; coś ważnego.

Naprzeciw, za balustradą i na podwyższeniu, znajdowało się prezbiterium. Tam — prosty ołtarz: przykryty obrusem stół. Głębiej, przy tylnej ścianie, drugi ołtarz, starszy, obudowany barokową nastawą złożoną ze złoconych i srebrzonych rzeźb apostołów, fruujących na obłoczkach pośród radosnych cherubów. W centrum tej imprezy, zupełnie niestosowna Męka Pańska. Obdarty z szat Chrystus, krwawiący, przybity do krzyża z drewna splekanego od starości.

W pełnym świetle ta konstrukcja potrafiła zapewne wyrazić boski splendor. W półmroku wyglądała ciężko i martwo, przytłaczała niewypowiedzianą groźbą.

Dlaczego Adam tak bardzo chciał tu przyjść? Może religia była dla niego kolejną drogą ucieczki. Może świątynia to dla niego azyl.

— Może kiedyś — mruknąłem, rozglądając się dookoła.

Ściany kościoła wyglądały na niedawno odnowione, ale Zbawiciela rozkładały pleśń i korniki. Farba jego skóry odpadała płatami, odsłaniając drewniane próchno. Gdzieniegdzie brakowało fragmentów ciała. Ramiona ledwo trzymały się korpusu, tak wiele dziur w nich ziało.

— Czekałem na ciebie, synu.

Podskoczyłem, zrywając się na nogi.

Obok mnie stał korpulentny ksiądz o twarzy dobrotliwego dziadka. Pojawił się znikąd, bezszelestnie. Łagodny uśmiech i życzliwe oczy odwracały uwagę od ciernistej obroży na jego szyi oraz od duchowej smyczy, czarniejszej od cienia, która wiązała go z zaniedbanym krucyfiksem.

— Ojciec Bogumił? — wydusiłem.

Bogowie, czy mogłem być głupszy? Dałem się poprowadzić jak cielę do rzeźni.

Ksiądz otworzył usta, ale zamiast słów rozbrzmiał przeszywający skrzek. Spomiędzy zębów buchnęła fontanna ciemności. Sięgnąłem do torby po swoją magię, ale na nic to, za późno, nawet amulety nie zadziałały. Oblepił mnie szlam, odór ścieku przytłoczył zmysły, usta zalały wymiociny. Nogi zmiękły i upadłem na wznak. Nie potrafiłem zrobić nic, ani krzyknąć, ani się ruszyć — leżałem sparaliżowany, a ohyda wsiąkała we mnie. Walka przegrana.

Ojciec Bogumił poruszał się z kocią gracją, mimo tuszy. Przykucnął, położył dłoń na mojej piersi.

— Nie bój się — powiedział z zaraźliwym spokojem. — Pan jest zbawieniem. Zabiera nasze grzechy, pochłania je i przez to uwalnia nas od winy. Na tym polega jego łaska. Możesz jej dostąpić, jeśli tylko się ofiarujesz. Jeśli zaufasz nieskończonej dobroci Pana i uznasz, że jego wola jest twoją wolą.

Szczery uśmiech na twarzy kapłana, nuta współczucia w głosie.

— Kiedyś byłem jak ty. Rozrywały mnie namiętności. Grzeszyłem, krzywdziłem ludzi. Skrzywdziłem własną matkę, zawiodłem ojca, rodzinę. Zacząłem pić. Staczałem się coraz bardziej. Byłem złym, samolubnym człowiekiem; dbałem tylko o siebie i swoje zachcianki, jak zwierzę. A mimo to Pan przemówił do mnie, kiedy dotarłem na samo dno. Dał mi wybór. Mogłem walczyć ze sobą dalej, aż zginę, do czego mi zresztą niewiele zostało. Albo mogłem wpuścić go do swojego serca, poddać się jego woli. Prawdziwa wolność, zrozum, zaczyna się wtedy, gdy znikają wątpliwości. W ich miejsce Pan daje pewność, że cokolwiek uczynisz, będzie dobre, bo uczynisz to w jego imię. Spełnisz przykazania Boga żywego, prawdziwego, a nie kukły na ścianie, czy martwego imienia ze starej księgi. Wybrałem wtedy i ten wybór odmienił wszystko. Nie ulegam już pokusom. Całego siebie ofiarowałem sile wyższej,

komuś, kto jest piękniejszy i potężniejszy, niż my wszyscy. To jest łaska, której ty też możesz dostąpić. Otwórz serce i oddaj się Panu.

Wstać i wyjść — to powinienem był zrobić. Tyle że wszelki ruch wymagał wysiłku. Trzeba było uruchomić całe ciało, tę kupę kamieni. Przebierać nogami, krok za krokiem, przez ile? Dwadzieścia metrów? Pięćdziesiąt? Czemu nie kilometr? Lepiej mi było na podłodze. Lepiej było w bezruchu.

— Pan cię pobłogosławił. Teraz widzisz jaśniej. Rozumiesz, jak bezcelowe jest to życie. Nie musisz nic robić. Nie musisz nic mówić. Ważna jest tylko twoja chęć poddania. Odrzuć wszystko. Na co ci ta udręka?

Może miał rację. Na co ta udręka? Mógłbym odejść i nie jestem pewien, czy ktokolwiek by po mnie płakał. Mógłbym, ale chyba jeszcze nie teraz. Nie dzisiaj, bo dzisiaj miałem coś do zrobienia. Coś, czego nikt inny zrobić nie potrafił.

Otworzyłem usta i z trudem wyszeptalem:

— Nie.

Zabrzmiało to jak charkot, nie mowa, ale kapłan zrozumiał mnie doskonale. Wstał i zwrócił się do Chrystusa na krzyżu.

— To grzesznik, Panie, ale pozwól mu dostąpić twojej łaski. Panie?... Nie, Panie. Nie! Proszę, oszczędź go. Nie każ mi na to patrzeć! Nie znowu!

Twarz ojca Bogumiła wykrzywiła się w bólu; ciało ogarnęły spazmy. Uklęknął na jedno kolano, zwiesił głowę i trwał w tej pozie, aż atak minął. Gdy wreszcie podniósł wzrok, nie było tam już życzliwości.

Skurcz mięśni nienaturalnie rozszerzał mu uśmiech — od ucha do ucha. Wybałuszone oczy wlepiały się we mnie intensywnie. Stwór nie potrafił stać prosto, więc pozostał zgarbiony, zwieszając ręce ku ziemi.

— Głupcze — wycedził przez zęby. — To nie jest jedna z twoich owieczek.

Głos brzmiał, jakby słowa siłą przepychano przez ściśnięte gardło.

— To czarnoksiężnik. Brak mu pokory do służby. Brak ufności i oddania. Nadaje się tylko do zarżnięcia.

Ksiądz znów położył dłoń na mojej piersi, ale tym razem gest nie był już delikatny. Poczułem nacisk tak wielki, że pozbawiał tchu.

Chciałem przeczekać, nie ruszać się. Dlaczego mnie dręczy, kiedy leżę? Powietrza brakowało jednak coraz bardziej. Musiałem coś zrobić. Musiałem zrzucić jego dłoń. Cały wysiłek woli włożyłem w ruch właściwych mięśni i nawet zobaczyłem własną rękę, jak obcy przedmiot. Próbowala chwycić coś, czego nie było. Machała rozpaczliwie w poszukiwaniu oparcia, czegokolwiek stałego. Nic nie znalazła. Szedłem pod powierzchnię, ciecz zalewała twarz.

To już się zdarzyło, wcześniej. Miałem dwanaście lat i topiłem się w szkolnym basenie. Skurcz paraliżował nogę. Wierzgałem, ale woda nie dawała za wygraną. Wyskakiwałem w górę — i zaraz opadałem pod powierzchnię, jakby coś mnie ciągnęło. Do góry, oddech. W dół. Do góry.

— Ratunku!

Zmierałem do dna; światła basenu nade mną, ciemność wokoło. Nikłem. Nie zasłużyłem na taki los. Poczucie krzywdy rosło, stawało się mocne,

coraz bardziej solidne; jedyna stabilna rzecz w okolicy. Chwyciłem więc tego jak koła ratunkowego. Pociągnąłem z całych sił i ruszyłem w górę, do świata. Tyle że miejsce, gdzie wynurzyłem głowę, okazało się kolejnym wspomnieniem.

— Pulpet! — krzyczał rudy dzieciak o złośliwej twarzy. — Ej, żryj to, tłuściochu!

W podstawówce byłem puszysty, dopiero później zrzuciłem kilogramy. Nie umiałem się bić, biegać, ani grać w piłkę. To, że byłem dobry z matmy, dodatkowo stawiało mnie przed celownik małych frustratów, jak ten tutaj. Rudy, piegowaty, nielubiany i niezbyt bystry — musiał znaleźć kogoś, żeby zepchnąć go niżej w hierarchii dziobania.

Dwóch jego koleżków przytrzymało mnie, podczas gdy rudzielec próbował wepchnąć mi do ust spleśniałą kanapkę. Siłowaliśmy się na korytarzu, wokół pełno dzieci. Nikt nie pomógł, za to zebrała się grupka, która uznała zdarzenie za wyjątkowo zabawne. W końcu miałem dosyć — pozwoliłem mu na zwycięstwo.

— Co za peda! Jeszcze troszkę, za mamusię! — triumfował.

Zabawę przerwał im dzwonek. Przez całą lekcję rozmyślałem, że trzeba ich wszystkich zająć, wyczyścić świat ze ścierwa. Dobrze wiedziałem, że nie mam ani sił, ani sprytu na globalny holokaust małych gnojków. Fantazjowałem jednak, że posiadam taką moc. Wracając do domu przywoływałem z pamięci obejrzane kryminały, może znalazłbym w nich przepis na zbrodnię doskonałą. Wreszcie dotarłem do wizji, w której miałem ich wszystkich zamkniętych w piwnicy, przywiązanych do krzesel. Mogłem zrobić, co chcę, nikt by w tym nie przeszkodził. Już w ósmej klasie starczało mi wyobraźni na rasowy horror klasy C.

Przebudzenie nadeszło nagle jak szarpnięcie bólu. Leżałem na podłodze kościoła, ciało bezwładne. Ksiądz ciągle nade mną, ciągle wykrzywiony.

— No proszę — syczał, wytrzeszczając ślepia. — Tyle złości. Tyle wstydu. Twój zapach jest jak zapach Adasia. Nic dziwnego, że poszedłeś jego śladem.

Ręce i nogi mrowiły. Jakimś cudem wracało czucie.

— Tak się bałem naszego spotkania — mruknął. — Tyle zrobiłem, żeby do tego nie doszło. Wiele lat temu podobni tobie więzili mnie i zmuszali do niewolniczej pracy. Nigdy więcej. Więc ukryłem się najlepiej, jak umiałem. Przyszykowałem wszystko do ucieczki. A ty wszedłeś tutaj ot tak, bez prawdziwej ochrony. Jak dziecko.

Potwór patrzył na mnie szaleńczo, jakby nie dowierzał własnym zmysłom.

— Potrzebuję nowego sługi — stwierdził wreszcie. — Spójrz na mnie, czarnoksiężniku. Gdy dosiadam wierzchowca potulnego, nie wyglądam jak teraz. Wtedy nikt mnie nie odróżnia od człowieka. Ale wystarczy brak oddania, wątpliwości, wyrzuty sumienia, i budzi się opór. Potrzebuję czystej karty. Złamanej woli. Śmierci za życia. I biorę ciało jak swoje.

Cofnął dłoń z mojej piersi. Wyprostował się nieco, stanął bardziej naturalnie. Z twarzy zeszło trochę napięcia. Ksiądz najwyraźniej przegrywał walkę.

— Do tego tresowałem Adasia — kontynuował demon. — Od kiedy spotkaliśmy się w szpitalu, po jego narodzinach. Już wtedy miał ten zapach. Wiedziałem, że znajdę wokół niego właściwych ludzi. Takich, którzy otworzą się na mnie, w ten lub inny sposób. Dzięki nim zawsze mogłem go obserwować. Popychać we właściwą stronę. A on tańczył przede mną, raz uciekał, raz się zbliżał. Wiele, wiele lat, ale w końcu przyszedł tutaj. Załamany. Zmęczony. Czysty. Niewiele było już trzeba, aby zechciał złożyć ofiarę. A więc pokazałem mu prawdę. Pokazałem siebie, bez zasłon. Śmiertelni nie wytrzymują tego widoku; rozpadają się, jak źle ulepione naczynia. Adaś powinien być ulepiony lepiej, sam tego dopilnowałem. Tak naprawdę dostrzegał mnie od dawna. Codziennie widział mnie wokoło, w gestach i spojrzeniach innych ludzi, we własnym odbiciu w lustrze. Powinien to znieść, powinien przyjąć mnie bez oporów, z wdzięcznością. Ale coś się stało, w ostatniej chwili. Wyszedł stąd na wpół wolny, na wpół związany. Próbowałem go zawrócić, zapędzić znów na właściwą drogę. Nic nie pomagało. Nie słuchał. Dlaczego? Czy to twoja sprawka, czarnoksiężniku? Ty mi go wykradłeś? Jak?

Milczał przez moment, aż na napięte wargi wystąpiła stróżka śliny i spłynęła po brodzie. Spróbowałem zacisnąć pięść. Udało się. Mogłem się ruszać.

— Na pewno coś zrobiłeś. To musiałeś być ty. Jesteś jedyną niewiadomą. I masz wystarczającą moc. — Przekrzywił głowę. — Choć zachowujesz się, jakbyś nie był jej świadom. Sprawdźmy...

Uśmiech demona rozszerzył się jeszcze bardziej.

— Czy chciałbyś zobaczyć moje prawdziwe oblicze?

Zawisł nade mną, ale tym razem byłem gotów. Zamachnąłem się torbą i trafiłem w pysk. Brzęk pękających słoików zwiastował kłopoty. Przez płótno listonoszki przesiąknęła błękitna mgiełka, która po chwili zamieniła się w gąszcz macek, chwytających co popadło. Rzuciłem tym wszystkim w księdza i zerwałem się na równe nogi. Macki oplotły twarz demona. Próbował je odczepić dłońmi, lecz palce przeszły na wylot przez materię ducha. Nie czekałem: pobiegłem co sił do drzwi.

Za plecami zadudnił wściekły ryk, gdy oba stwory mierzyły swoją wolę. Minąłem jeden rząd słupów, drugi i trzeci. Niemal dopadłem kruchty, na końcu której czekała zamknięta brama. Wtedy zrobiłem błąd — zerknąłem za siebie. Chwilę później coś ścięło mnie z nóg. Uderzyłem w oparcie ławy, po czym padłem jak kłoda na posadzkę. Kapłan wylądował na mojej piersi — tak szybko, że nie nadązałem rejestrować wszystkich jego ruchów. Przycisnął mnie do ziemi. Chwyił za gardło.

— Patrz — wycedził.

Paszczą otworzyła się szeroko. Szczęka opadła niemal na szyję, aż zatrzeszczało. Bezwładny język zawisł jak krawat. W gardle ziała ciemność, jądro pochłaniające wszelkie światło. Nie potrafiłem oderwać wzroku, ale im dłużej patrzyłem, tym mniej mnie zostawało.

Naraz wróciły czarne chwile i wstydlive momenty. Ten, kiedy znalazłem ciało mojej matki zwisające ze stryczka w łazience. I ten, kiedy zmoczyłem łóżko w domu dziecka, choć miałem już szesnaście lat. Przypomniałem sobie pierwszy raz z dziewczyną, której tak bardzo pragnąłem, że aż sprzęt odmówił mi posłuszeństwa. Powróciła noc w akademiku, w samym środku ciężkiej sesji, gdy pierwszy raz zobaczyłem duchy — i byłem pewien, że wariuję.

Wstyd. Nie, więcej: wstręt do siebie. Mogłem się tylko odepchnąć, postawić tamę. To nie moje życie, to życie jakiegoś idioty, żalostnego nieudacznika. To nie ja. To nie jestem ja.

Ale to byłem ja. Demon miał mnie wedle uznania. Kawałek po kawałku, odrywając każdą część, do której nie chciałem się przyznać. Coraz ciężiej było to wszystko spamiętać. Coraz trudniej było wydobyć sens z tych fragmentów, które przetrwały.

Co ze mnie zostanie? — myślałem, aż zapomniałem, skąd się ta myśl wzięła. Było: co ja tu robię? Później: gdzie jestem?

Kim jestem?

Miałem dwie dłonie, na każdej po pięć palców. Pokrywała je gładka, delikatna skóra, prawie nieowłosiona. Paznokcie nie nadawały się do obrony. Było to bardzo dziwne. Szczególnie wtedy, gdy kończyny sprawnie sięgnęły do kieszeni pokrywającego mnie odzienia. Lewa dłoń trafiła na płaski czarny prostokąt („telefon” — przyszło do głowy koślawe słowo). Prawa chwyciła za książkę — tę nazwę pamiętałem o wiele lepiej. Na okładce widniały litery, dzięki którym odkryłem, że umiem czytać.

„Conan Bojownik”.

Skoro rozumiałem znaczenie symboli, otworzyłem książkę tam, gdzie chciała się otworzyć.

Wiedziony niezawodnym instynktem, Conan skoczył na bestię i ciął trzymanymi w obu dłoniach jataganami. Łby potwora kłapały pełnymi trucizny paszczami, ale mimo desperackich prób, nie uchwyciły Cymeryjczyka. Ten bowiem ruszał się szybko niczym gepard w pogoni za zwierzyną i zwinnie jak pantera na łowach. Najgroźniejszy przeciwnik nie mógł mierzyć się ze wściekłością barbarzyńcy.

Czytałem to już kiedyś — a może tylko coś podobnego. Wróciły do mnie książki, które przeżyłem jako chłopiec. Wróciły filmy ze Schwarzeneggerem, komiksy z superbohaterami, wróciło fantasy, lepsze i gorsze, liczone już nie w tomach, lecz w tonach. Wrócił He-Man — mocy przybywaj! Wrócił Wiedźmin oraz jego twarde serce ze złota.

Przede wszystkim: przypomniałem sobie ekscytację, którą czułem dzieciak, z wypiekami na twarzy śledząc losy herosów. W szkole na przerwie, nocą pod kołdrą, przy świetle latarki; całymi dniami z nosem w książce. Wszystko moje, nikt nie ma prawa tego odbierać. Skoro pamiętałem, to znaczy, że żyłem. Istniałem. Byłem tutaj.

W tym mrocznym kościele, na posadzce, z przerażającym stworem nade mną. Istniałem. Byłem sobą. Byłem tutaj. Po co?

— Jestem tutaj, żeby skopać ci dupę — powiedziałem powoli, każde słowo mozolnie wyciągając ze studni zapomnienia.

Demon zrozumiał. Ślepią straciły drapieżny błysk. Uścisk osłabł. Wreszcie stwór odskoczył jak oparzony, byle dalej ode mnie.

— Nie! — zawył, gdy szczęka wróciła na dawne miejsce. — Coś ty zrobił? Co to za czary?!

Jestem niewrażliwy na jego jad, jego i moją ciemność pospołu — pomyślałem. Jestem niepokonany. Ja — facet po trzydziestce, z pierwszą siwizną na skroniach — wiedziałem, że to tylko złudzenie. Dzieciak we mnie nie chciał jednak przyjąć tej prawdy. I to on pierwszy zrozumiał, co robić.

Wstałem. Ruszyłem przed siebie, w stronę ołtarza. Stwór cofał się; mój krok do przodu, jego krok do tyłu. Przerazenie wyraźne na wykrzywionej paszczy.

Gdy dotarłem do torby, sięgnąłem po pusty słoik — jeden z tych, które się nie stłukły. Wyrysowane markerem symbole nabrały mocy, gdy ich dotknąłem.

— Wypełnisz moją wolę. — Odkręciłem wieczko. — Zostawisz tego człowieka. Zostawisz wszystkich ludzi, których pętasz. Będziesz mi służyć, tak jak służyłeś innym w przeszłości. Tutaj, w tym słoju.

Stwór rozejrzał się na boki, szukając drogi ucieczki.

— Do słoja — rozkazałem jak niesfornemu psu.

Bo to ja jestem panem. Moja wola jest prawem. Jak magowie z przeszłości, ci prawdziwi, którzy pojęli tajemnice umykające ludzkiemu zrozumieniu — jestem jak oni. Uwierzyłem w to. Na chwilę.

Tyle jednak wystarczyło.

Demon porzucił ciało księdza. Cieniste macki strzeliły w stronę krucyfiksu, czarne kłęby kotłowały się w panice. Przyciąganie moich znaków było jednak silniejsze. Słoik zassał esencję jak odkurzacz. Najpierw widmowe smugi, zewnętrzne wici i wypustki. Potem coraz gęstsze kłęby, aż wreszcie — smolisty węzeł wielkości głowy, najwytrwalej opierający się mojej sile.

Zakręciłem wieczko. Za szkłem wirowała rozeźlona czerń, teraz równie groźna co eksponat na wystawie dziwolągów.

— Boże... tylu ludzi... Boże, co ja zrobiłem? — szlochał ojciec Bogumił, skulony na podłodze. Trzymał obolałą szczękę, mamrotał. Nie miał już obroży na szyi. Jego ruchy straciły nadnaturalną gibkość; stały się ociężałe, nabrzmiały zmęczeniem.

Dzieciak na haju nie miał dla niego litości. Wszechmocny mag z praczasów również. Współczucie mogło przyjść tylko od kogoś podobnie zranionego. Płacz księdza sprowadził mnie więc na dawne miejsce — do trzydziestolatka z chaotycznym życiem i zbyt wieloma sprawami na głowie. Do tego, co znam najlepiej, i co mógłbym nazwać człowieczeństwem.

— Już po wszystkim — powiedziałem na pocieszenie, ale we własnych uszach zabrzmiałem głucho i nieszczerze.

Prysnęła iluzja mocy. Ręce zaczęły się trząść. Czym prędzej schowałem ducha do torby, zanim powrócą zesłane przezeń wizje. Wyszedłem przed kościół, zapaliłem skręta. Zaciągnąłem się głęboko parę razy, czekając, aż świat straci na wadze.

Teraz, bez wpływu demona, jego ofiary odzyskają wolność. Będą się cieszyć z tego, co je raduje, smucić na to, co smutne i wkurzać, gdy dostaną po temu powód. Przynajmniej przez jakiś czas. Konsekwencje mojego czynu nie będą wieczne. Stworzyłem pustkę. Żyzne pole bez gospodarza. Przestrzeń wokoło aż prosiła o wypełnienie.

Gdy więc pogoda zaczęła się poprawiać, w miejsce chmur nad kościelną wieżę nadpłynęły blade wijce. Z okolicznych zaułków przybyły stwory wszelkich kształtów i usposobień. Przystanęły na granicy placu, łypiąc ciekawie ślepiami, nastawiając uszu i wyciągając czułki. Nie było już aury, która je odstraszała. Potężny stwór, władca tego terenu, odszedł.

Za duchami podążyli ludzie, wieczorni spacerowicze, spętani widmowymi sznurami jak marionetki w rękach kuglarzy.

Buchnąłem konopnym dymem. Nie, to nie koniec. To dopiero początek.

Spodobało Ci się?

Postaw autorowi piwo!

Wejdź na spisekpisarzy.pl lub prześlij datek na konto:

PL18249010440000420080814868

Spisek Pisarzy
Sulisławice 29
55–100 Trzebnica

Wspieraj twórców i pokaż, że otwarty dostęp do kultury ma sens.

Postłowie

W książce wykorzystałem (sparafrazowany) fragment wiersza „Rzeka” Adama Ważyka, a także posłużyłem się pierwszą zwrotką wiersza „Czerwony marsz” Jana Brzechwy (obie referencje w pierwszym rozdziale).

Pozostałe cytaty są wysane z palca i przy ich produkcji nie ucierpiał żaden pisarz.

Wszystkie ilustracje wykonał Maciej Piątek. Warto obejrzeć inne jego prace na Facebooku (www.facebook.com/stworzastyart).

Do wykonania okładki użyłem grafiki autorstwa Suriana Soosay, udostępnionej na licencji Creative Commons (creativecommons.org/licenses/by/2.0/).

Szczególne podziękowania należą się Ani Jaskółce, bez której książka byłaby o czymś jeszcze bardziej ponurym. Pewnie o samotności, śmierci i kosmosie. Możliwe jednak, że miałyby tę samą okładkę.

Licencja

Treść książki objęta jest licencją Creative Commons (CC BY-NC-SA 3.0 PL). Pełne brzmienie licencji znajdziesz tutaj:

<http://creativecommons.org/licenses/by-nc-sa/3.0/pl/legalcode>

Mówiąc po ludzku, wolno Ci:

- 1. Dzielić się książką bez ograniczeń i w dowolnej formie.**
- 2. Wykorzystywać treść książki jako bazę do własnej twórczości.** Przyzwolenie obejmuje, między innymi, adaptacje, tłumaczenia i fanfiki.

Te swobody przysługują Ci jednak pod trzema warunkami:

- 1. Musisz właściwie oznaczyć autora oryginału** i wyraźnie wskazać, czy w treści były dokonywane zmiany. Musisz również podać link do licencji.
- 2. Cokolwiek stworzysz, musisz udostępnić na tej samej licencji.**
- 3. Nie możesz wykorzystać treści książki (ani dowolnego utworu zależnego) w celach komercyjnych.**

Spis treści

[Wtajemniczenie](#)

[A](#)

[Retrybutor](#)

[Koniunkcja fakapów](#)

[Wszyscy będziemy służyć](#)

[ASAP REX](#)

[Arbeit macht frei](#)

[Ekstra bonus](#)

[Spokój ducha](#)

[Ω](#)

[Spodobało Ci się?](#)

[Posłowie](#)

[Licencja](#)